

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

---

# ≡ SZKICE ≡



Nakładem Księgarni i Składu Nut  
**KUNCEWICZA i HOFMANA**  
Warszawa Marszałkowska 91.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0170562

e762



284441

Liście Pedagog

Sp. 762

LISTY Z PODROŻY.

b-21/05

## Z ZAKOPANEGO.

(1895).



Żeby to człowiek psiakrew mógł mieć skrzydła! Takby mi się chciało stąd nad włoskie morze polecieć! Bo tu jest bardzo pięknie, prześlicznie — naprzykład: podczas lekkich odwilży leżą na śniegu wielkie plamy złote, że wydaje się, iż za Giewontem gdzieś rośnie jakiś olbrzymi las o złotych liściach, z którego wiatr je poobrywał i na śnieg rozmiótł — ale wszystko to jest zimne, smutne i martwe. Kiedy patrzę na tę niebieską płaszczyznę śniegu, bijącą taką masą światła i blasku, aż oczy lśnią, przypomina mi się ciągle morze, równie świetne, równie błyszczące, a takie ciepłe, żywe, ruchome.

Pamiętam jeden świt na morzu. Mieszkałem w Neapolu, na Riviera di Chiaja, gdzie mi do okna świecił nocami Wezuwiusz,

a skąd miałem widok na całą zatokę, na Saint Angelo, na Capri, jeden zapewne z najpiękniejszych widoków na świecie! otóż stamtąd widziałem wschód słońca na morzu.

Wychodziło z za gór, które w porannych oparach wyglądały, jak niebieskie mgły, zmieszane z białymi; z za skraju ziemi ukazywały się blaski żółte, pomarańczowe i złoto-czerwone. Niebo od wschodniej strony dziwnie dalekie, subtelnego, przejrzystego, zielono-złotawego tonu, błękitniało powyżej, świecąc w głębi kopuły jedną srebrną gwiazdą, jak świekiem z Chrystusowego krzyża. Trwało tak chwilę, a potem blaski podniosły się nieco i nie zmieniając barwy, poczęły tylko do niej ogień przybierać; promieniały coraz bardziej, aż wreszcie blask ognia przepoił je i nawskroś przelśnił.

Tymczasem na morze, które było dotychczas zupełnie białe, jakby śniegiem mlecznym pokryte, spadł jakoby srebrzysty szron i poczęło świecić. Białe opary zeszły górom do stóp, a te jęły brać w siebie róż i purpurę, stając się u wierzchołków modre i promienne. Raz jeden tylko widziałem taką grę oświetleń porannych na górach.

Wtem padł na morze smug złotego światła i zaiskrzył się, jakby przeleciały tędy rumaki Pozejdona i iskry z fal kopytami skrze-

sawszy, złoty gościniec zostawiły za sobą. W chwilę potem rozdarła się nagle śniegowa płaszczyzna i trysnął z błękitnej wody blask, jakby pod wodą mieszkwały potworne delfiny, promienne strumienie z nozdrzy rzucające. Na morze poczęły teraz padać złote, czerwone, niebiesko-ponsowe strzały, oszczepy, wielkie tarcze i niezmierne łuki, które w mgnieniu oka zmieniały się w labirynt różnobarwnych, olbrzymich wstęg, w taką zamieć światła, że się zdawało, iż tysiące tęcz, urwanych pod ciężarem swych kolorów, padło na morze i splątało się, jak igrające węże.

Z za gór, jakby od płonącej floty, uczyniła się na niebie luna i poczęły wybiegać na nie płomienne obłoki, nakształt oderwanych, palących się żagli, które wiatr niesie.

Wreszcie wyszło słońce, wielkie, promienne, słońce, które widywało naga Dyanę i kapało w swem świetle cudne członki nimf z jej orszaku, słońce, pod którym Shelleyowi ukazywały się wizye z mgły, kryształu i błękitu, słońce...

Hrabina van Loos-Craffen, moja sąsiadka, która miała z takim samym widokiem okno i taki sam balkonik przed niem, jak ja, wyszła i pokazała słońcu swój ładny, nudny i znudzony profil. Zeszedłem z ganku.

Znalazłszy się na ulicy, skręciłem w stro-

nę Pauzylippu. Neapol, oprócz wszystkich piękności i osobliwości, oprócz kapuańskiej Wenery, Pompei i zatoki Bajów, ma jeszcze jedną rzecz piękną i osobliwą — prosty słup telegraficzny, prosty w znaczeniu moralnym, bo naprawdę ten słup jest krzywy zapewne jedyny poetyczny słup z białymi kłoszykami na świecie.

Stoi na wierzchołku jakichś ogromnych ruin nad morzem, przy drodze ku Pauzylippowi; u stóp pną mu się bluszcze i jakieś smutne, jakby zmęczone słońcem, rosną kwiaty; wokoło jest martwość i pustka, gruz i pleśń. Na dole morze srebrno-piane, szumiące morze; po nad niem niebo błękitne, czyste, lazur ci chy i jasny. Rzucony tam w przestrzeń, wysoko, ma w sobie ten słup tyle melancholii i poezji, że można się weń zapatrzeć..

Niema nic rozkoszniejszego, jak włóczyć się w słoneczny dzień nad morzem. Można by włóczyć się miesiąc i nie byłoby to żadnem próżniactwem, tylko ogromnem odżywianiem się imaginacji. Morze dla ducha jest, jak ów stół niebieski, o którym mówi Katarzyna Emmerich, że Chrystus i aniołowie pożywiali zeń, ale nie jedząc: niebieska strawa sama w nich wnikała; tak w ducha, który sam jest bezczynny, wnika z morza pożywienie jakieś mistyczne, jakieś odświeże-

nie sił, regeneracya. Każdy poddany austriacki powinien być na koszt państwa wysyłany raz w rok przynajmniej na dwa tygodnie nad morze Śródziemne; mielibyśmy więcej pogody w duszy i harmonii w myślach.

Nie widziałem nigdy podobnego błękitu wody, jak kiedyśmy płynęli ku Capri. Morze było tak spokojne, że zdawało się, iż statek pruje niezmierną szybę szklaną; nie było ani jednego wypadku choroby morskiej, tylko dwie jakieś stare jejmoście poczęły nagle otwierać usta, jak karpie z sieci wyjęte. Na szczęście statek podpłynął pod Sorrento i zatrzymał się; atak poziewania przeminął, a nim rozpoczął się nowy, staliśmy pod słynną grota, „grotta d'azure“.

Pod sam kadłub statku podbiega kilkadziesiąt wązkich łódek; z pokładu rzucają schodki. Zaczynamy schodzić: po dwie osoby do każdej łódki. Była jedna bardzo ładna amerykanka, ale z mamą... Płyniemy ku czarnemu otworowi groty: wejście jest tak niskie, że musimy się kłaść obok siebie... Amerykanka obok mamy... Wpłynęliśmy; możemy usiąść na ławkach.

Jesteśmy wszyscy w niebie, raczej — na niebie; wkoło nas, pod nami, jest lazur, lazur tak czysty, przezroczy i mocny, że wszystko, cokolwiek się zanurza weń — wiosła,

łódki, nasze własne palce, stają się niebieskie. Słońce fosforyzuje wodę: tysiące iskier zapala się na niej i gaśnie i znów zapala; nad nami jest czarne, głuche sklepienie skały; wyłot groty, im się dalej wgłąb wpływa, wydaje się coraz mniejszy. Nie podobna, żeby tamtędy wydostać się można. Robi się mimowoli na tych błękitach promienistych straszno.

Wracamy na statek, przybijamy na Capri, miejsce, w którym się dusza roztapia, „skrzydeł anielskich dostaje“.

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce,  
Była cicha godzina poranna.  
Woda jasna, szafirowo-szklanna,  
Cicho dzwoni u brzegów i szept.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki  
Róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,  
Które tutaj zrzuciły z warkoczy  
Przed wiekami cesarów kochanki.

Jeszcze zda się, pierzchnąć nie zdołało  
Ich odbicie z kryształowej wody,  
Gdy się, cheiwe swej własnej urody,  
Morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie cesarów,  
Nad tą wodą szafirowo szklanną,  
W taką cichą godzinę poranną  
Słychać oddech kochanek cesarów...\*)

Nigdy nie zapomnę tej przezroczyściej fali w ruinach Tyberyuszowej łaźni. Ież to białych ciał kąpało się w taką cichą godzinę poranną, a zdumiony Pozejdon, patrząc z rydwanu na toni morskiej, złotym podparty trójzębem, dziwił się i nie wiedział, czy to ziemianki tak piękne, czy Afrodyta z orszakiem, czy kwiaty i obłoki różowe, wołają Zeusa zmienione w kobiety?... Zać one bielily się w lazurowej wodzie, biorąc na złote włosy złoty blask słoneczny i rzucając różane wianki na toń...

Ładny, nudny i znudzony profil hrabiny van Loos-Craffen wychylił się z za ściany zgruchotanej Tyberyuszowej łaźienki: czas było wrócić na statek.

Nad morzem w Neapolu, od strony miasta ku Bajom, biegnie park, zwany Villa Nazionale, jeżeli dobrze napisałem po włosku.

Lubiłem tam chodzić, zwłaszcza wieczorem. Wezuwiusz, który stamtąd doskonale widać, a który w dzień kurzy się słupem sinego dymu, w nocy wyrzuca z siebie ogromne kiście czerwonego płomienia\*); latarnie rzucają długie smugi światła na wodę, ognie na statkach błyszczą zdaleka, a koło brzegów krążą światła dymiące. Krąży ich czasem kilkadziesiąt, cicho, bez szelestu, bez plusku fali. To rybacy na swych małych łódeczkach. Zwyk-

\*) Ten wiersz wszedł później do III seryi „Poezyi“

le jest ich dwóch, czasem trzech w łodzi: jeden na przodzie dorzuca smolnego łuczywa do zawieszzonego na kiju ogniska w żelaznym wielkim kagańcu, drugi popycha lekko łódź wiosłem, a obaj patrzą pilnie w wodę. Gdy który rybę wypatrzy, łódka staje, jeden z rybaków bierze żelazny dwuząb na długim kiju i grzmi w niebogą, a potem wydobywa ją z wody, zdejmuje z żelazca i pakuje w coś na dnie łodzi — szaflik, paczkę czy garnek, a może na samo dno rzuca, bo tam wielkich ceremonii z rybami nie robią. I płyną dalej. Znów stanęli. Fantastyczna postać w łachmanach podnosi się, ogień ciska na nią i na morze dziwne światła i dziwne cienie, dwuząb zanurza się w wodę i powraca z łupem. Te ogniste łódki, błędzące wzdłuż Santa Lucia i Via Carraciolo, są śliczne: ale przykro jest na nie patrzeć, jak na każde polowanie, zwłaszcza wodne.

Wszelakim stworom morskim można się do syta nadziwować w słynnym neapolitańskim Akwaryum. Co tam są za fantazyje na temat ryb, co za waryacje na temat małżów, co za ekstrawagancje na temat raków, różnych pajaków, polipów i tym podobnej gawiedzi morskiej: przechodzi ludzkie pojęcie. Jak również przechodzi ludzkie pojęcie niesłychaność, nadzwyczajność, przeraźliwość

poprostu kolorów, w jakie ta wodna gawiedź jest ustrojona.

I co te szelmy nie wyprawiają! Naprzykład są jakieś jamochłony, czy jak im tam: wygląda to jak pęcherz, a płynie w ten sposób, że wchłania w siebie wodę i wyrzuca, a przez ten ruch się porusza. Są znowu takie, prześlicznie utatuowane, które udają sowy: siedzą w szczelinach między kamieniami, którymi im wyłożono baseny, zupełnie z kształtu do sów podobne. Można się zapatrzeć, zwłaszcza, jeżeli ktoś ma wrażliwy wzrok. Jest to zupełnie coś bajecznego.

Niema rozkoszniejszego miejsca do włóczęgi, jak Neapol: po jednej stronie Baje, Mare Morto, Pola Elizejskie, Capo Miseno, po drugiej Pompei, Wezuwiusz, Salerno, Sorrento... Czy możecie pojąć, co to jest za czar w tem słowie: włóczyć się?

Ah! włóczyć się bez ustanku

Od wieczora do poranku,

Od poranku do wieczora...

że pozwolę sobie przeistoczyć trochę słowa Żmichowskiej. Tak jest, włóczyć się! Włóczyć się całe życie! Czyż może być godniejsze zajęcie człowieka, wyższego — nad „przesąd“ obowiązków, albo człowieka, któremu nie chcą dać żadnych obowiązków dlatego, że się włóczy?

A jeżeli się już ciało nie zawsze włączyć może, niechże się przynajmniej włączy duch! Jak ów szalony statek francuskiego poety, co przebiegł wszystkie morza płomienne i świetlne, niech duch przebiega niezmiernie morza wyobraźni! Choć, co prawda, jestto wygrać na domowej ruletce *en plein* 180 faszoli za pięć... Wygrało się, tylko że — fasolę.

Nie wiem, dlaczego Pan Tadeusz z *Pana Tadeusza*, w soplicowsko-litewskim zapale napada na cyprysy i porównywa je do „loka-ja niemca we dworskiej żalobie?“ Jest to tak piękne drzewo, że równie piękne są chyba limby nad Popradzkim jeziorem. Kiedy z Monte Pincio spojrzałem przed siebie, zdawało mi się, że śnię, że Boecklin wymalował i te cyprysy smutne i takiej ogromnej melancholii pełne, i te łąki zamysłone, i te wzgórza w łukach falistych, i to niebo ponure, sinoszafirowe, ponsowymi obłokami przedarte, niebo, które trzyma w sobie burzę, jak lew gniew, a na którym wisiał w przestrzeni olbrzymi płat tęczy, wyrwa z łuku, przepadłego w odmęcie szarych obłoków, postrzępiona, jak kolorowy i krwią zbroczony sztandar, który wiatr z drzewca oderwał i na powietrzu rozbił. A w dali huczą grzmoty, jak działa... Błysło...

A tam wieczne miasto, kopuła św. Piotra

i awentyńskie ruiny i niebo ciche, przejrzyste i srebrno-błękitne.

Dusza mi tonęła w tym obrazie. Chciało mi się cały ten świat wziąć i wchłonąć w siebie, jak wówczas, kiedy z jednego z tatrzańskich wierchów widział całą przestrzeń widnokregu pod srebrysto-siwą, nie zmierną mgłą, jakby się jakieś morze wydźwignęło ogromne i legło na skałach spokojne, nieruchome, senne; wysoko w mgławicy bezpromienny, matowy krąg słońca; w dali gdzieś równa nizina, wylaniająca się z pod mgły, pełna złotego zboża i ciemnych lasów, jak sen; wkoło, w wielkiej, oderwanej od wszystkiego, absolutnej pustyni, gdzieniegdzie sterzące szare szczyty, jak skalne wyspy nad morzem. Potem z podniebnej mgławicy wydarło się skosem słońce i rzuciło z jednego krańca pęk promieni: srebrysto-siwa przestrzeń powlekła się podblaskiem, jak złotą pajęczyną, szczyty zaróżowiły lekko i zwiewnie i zaczęły się zdawać czemś powietrznem i kołysanem w pustce. W jednym miejscu przedniała mgła: ukazały się ciemne ściany, ścięte, prostopadłe, również powietrzne i jakby rozkołysane. Szły gdzieś w dół, w otchłań. Potem wiatr w innem miejscu mgłę skłębił, zbił i otwarł w niej czelusć przepastną, wśród której przez kilka mgnień oka



zamajaczyła gdzieś straszliwie nisko ciemna toń stawu i stojące nad nią smreki, jak widma... Potem uspokoiło się wszystko; była znów jedna srebrzysto-siwa mgła wkoło sterujących ponad nią szczytów i wysoko, w mgławicy, bezpromienny, matowy krąg słońca. Bywa piękno idealne, w naturze, w sztuce, czasem w ludzkiej duszy.., czasem w jednym małym kobiecym sercu, albo w wyobraźni człowieka, który to serce kocha...

Cyprysy na Monte Pincio i te, które widziałem stamtąd, pozostaną mi wiecznie pamiętne; rozumiem, że można się zakochać w Rzymie, że może on się stać drugą ojczyzną. Pamiętne mi też będą cyprysy angielskiego cmentarza, gdzie wśród białych płyt marmurowych jest jedna, z małą brązową harfą obok i wrytym napisem: *Cor cordium* (serce serc). To grób poety poetów, Shelleya. Na płycie leżało trochę zwiędłych bratków i fiołków. Człowiek ma w sobie dziwne sentymentalizmy: bo naprzód przyszła mi ochota wziąć kilka uwędłych kwiatków; a potem przyszło mi na myśl, że jednak te bratki i te fiołki są własnością pamięci tego, który je tu położył i pamięta o nich — i nie wziąłem.

Nigdzie, jak tam, cyprysy nie są bardziej dostrojone: ciche, smutne, pełne zamyślenia

i dziwnie uroczyste, jak na owem arcydziele Boecklina, które się nazywa: „Wyspą umarłych“.

A *propos* malarstwa, spotkałem się w Rzymie z Aleksandrem G....., którego znać mam zaszczyt (G..... nie należy wprawdzie do Jockey-Klubu, nie jest nawet z żadnej hrabianki urodzony — jest tylko wielkim malarzem); chodził, jak w Krakowie, w wysokich butach i pelerynie, jadł *finocchi*, pił marsalę i wymyślał w przepysznej rzymskiej tawernie na filisteryę Warszawy, na mydłkowatość niektórych warszawskich literatów i mydełkowatość niektórych tamtejszych i nie tamtejszych, ale ulubionych Warszawie tak zwanych malarzy. Przez uszanowanie dla jego szerokiej sławy i starszego dosyć, niż mój, wieku, nie śmiałem się sprzeciwić. Mówił także, że we Włoszech ludzie inteligentni i cywilizowani cenią człowieka nie podług tego, jak się ubiera, ale podług tego, co jest wart. Przez toż samo uszanowanie nie śmiałem mu wtrącić: zupełnie jak u nas, proszę pana. Nakoniec mówił, że tu, czy w Niemczech, czy we Francyi, artysta, czy poeta, nie jest narodową lalką, narodowym wystawowym meblem, z którego sobie naprawdę nikt nic nie robi, ani narodową *bête noire*, na której lada cymbał psy wieszają, dlatego

tylko, że mu sam do pasa nie dorasta. Toż samo uszanowanie nie pozwoliło mi dodać: zupełnie tak i u nas, łaskawy panie.

Chodząc po galeryach watykańskich, gdzie się rzeczywiście oczy ćmiał od marmurów, myślałem sobie: gdybyż to ludzie tak niepospolitych talentów, jak Lewandowski, jak Laszczka, mogli tu co rok na kilka miesięcy przyjeżdżać! Byłoby to dla nich zupełnie tem, czem dla współczesnego dramaturga jest czytanie Szekspira, albo dla kompozytora studia nad Beethovenem, a nawet daleko więcej. Szekspir, gdyby dziś żył, musiałby pisać inaczej, Beethoven zapewne także nie byłby zupełnie taki, jaki jest; ale gdyby twórca Kni-dyjskiej Afrodyty wstał z grobu, czy rzeźbiłby ją inaczej? Czyż wszystkim rzeźbiarzom późniejszym, ilu ich było, nie wyjmując ani jednego, nie mógłby powiedzieć: uczcie się odemnie, bo ja się od was nie mam czego uczyć? Dziwni są ci rzeźbiarze greccy: oni są, jak natura, od której nic doskonalszego być nie może. Jeden Homer, którego *Iliadę* spodziewamy się mieć niezadługo, w nowym podobno i przez Sienkiewicza bardzo chwalonym przekładzie Lucyana Rydla — jest podobny do nich: stoi. Prawda, że i inny był świat... Jeżeli mężczyźni podobni byli do Tezeusza, walczącego z bykiem, a kobie-

ty do Wenus z Milo — mógł być Homer i mógł być Praksyteles.

Nie wiem czemu, kiedy dziś patrzę na ten niebieski, zimny, martwy śnieg zakopiański, marzą mi się Włochy. Zdaje mi się, że słyszę dzwony św. Piotra, w których każdym dźwięku zda się wylatywać olbrzymi anioł z płomiennym mieczem i spiżową tarczą nad miasto, aż cała chmura tych aniołów zawisnie w echu; zdaje mi się, że gdy zamknę oczy i otworzę, zobaczę znów złociste pomarańczone gaje, palmy o rdzawej, upalnej zieleni i neapolitańską zatokę słoneczną i błękitną. I tak mi się chce śniegów i zimna, jak psu gitary.



## Z DESENZANO.

1895.

Jestem nad Lago di Garda, patrzę na góry, które coraz bardziej giną w złowrogich, sinych i różowo-sinych obłokach, i słucham, jak zdaleka burza huczy gdzieś po równinach lombardzkich. Przedemną jest woda cicha, ogromna, prawie zatoka morska. Wieczór...

Na Anioł Pański biją dzwony,  
Niech będzie Marya pozdrowiona,  
Niech będzie Chrystus pozdrowiony,  
Na Anioł Pański biją dzwony,  
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na Anioł Pański biją dzwony, a głos ich płynie gdzieś po wodzie, zda się, że w falach zagiętych kołysze się i płynie, coraz dalej, coraz dalej...

Na Anioł Pański biją dzwony,  
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Cudowną miałem drogę. Łąki tyrolskie mie-

nią się od kwiatów; zielen, czerwien, kolory żółte i niebieskie tworzą na nich prawdziwą jakąś muzykę barw, smętną i zadumaną, zwłaszcza gdy to wszystko gra przed oczyma chwilę i mija, wraz z przelotem pociągu. Ponad łąkami góry olbrzymie, dzikie, urwiste i przepastne, zawalone śniegiem, buchające rzekami wodospadów, pełne lasów przestronnych i dolin rozległych. Miałem to samo wrażenie, co w przejeździe przez Szwajcaryę: że Tatry są miniaturą gór i że Alpy są od nich o wiele przez swoją imponującą kolasalność wspanialsze.

Burza gdzieś przeszła, robi się chłodniej i fala szeleści, pluska przy brzegu; nad wodą szybują jaskółki. Robi się coraz ciszej. Dzieci włoskie przestały krzyczeć i bawić się na pobrzeżnym kamieńcu, praczki zabrały swoje kłęczniki i bieliznę i poszły do domów, robi się coraz ciszej, coraz ciszej — i coraz smutniej, coraz smutniej, ach! smutno bez dna, bez brzegu, bez granic...

Przewiewa chłodny wiatr, a jakiś różowawy metaliczny blask zesnuwa się na jezioro od zachodu, na jezioro, które ma kolor jednej, ogromnej łąki.

Na Anioł Pański biją dzwony,  
Niech będzie Marya pozdrowiona,  
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Przy płynąłem tu dziś statkiem z Rivy. Nagie, skrzęsane, czerwone skały, wązki wbieg jeziora między te piętra, ze wszystkich stron góry ogromne i niezmiernie puste; wszystko to czyni Rivę, mimo południowej strony świata, pęsną. Góry są czasem za ciężkie, nawet dla nas, górali z pochodzenia. Czasem dusza potrzebuje szerokiej przestrzeni, szerokiego powietrza, aby się po niem tulać mogła i przed samą sobą uciekać; czasem potrzebuje takiej łagodnej zieleni, aby się mogła kryć sama przed sobą w gąszczach czasem potrzebuje także takiej cichej wody, która ma kolor jednej ogromnej łąki...

*Vogue la galère!... Vogue la galère!...*

O tej porze mnóstwo Niemców się żeni i przewłócza swoje miodowe miesiące po Alpach i Włoszech. Spotykałem takie pary w wagonach w Tyrolu, spotkałem w Rivie, miałem na statku i tu w tej małej włoskiej mieścinie spotygam. Wszyscy są dziwnie ordynarni, bezceremonialni i niezajmujący; mniejsza już o to, że co dwudziesty trzeci Niemiec je ryby nożem. Nie żenują się tak, że gdzieś koło Franzensfeste byłem pewny, iż będę świadkiem sceny, o której lubią marzyć młode i stare panny. Byli bardzo blisko siebie i on wśród pocałunków coś jej szeptał. Mówił-że

jej w języku Heinego: „Ty moja, ty moja, ty świecie mój jedyne, ty ukochanie moje najmilsze, ty umiłowanie, życie moje, duszo moja, kocham cię sercem, kocham cię mózgiem, kocham cię krwią moją serdeczną, ty wszystko moje!?!...“ Dalibóg, nie komponuje: wśród pocałunków i kiedy byli tak blisko siebie, ten Niemiec spytał się swojej Niemki: *Du, was hast du dem Kellner gegeben?* A ona mu wśród pocałunków odparła: *Dreissig Kreuzer, Schatz!*...

On, o ile puszczał ją z rąk, to tylko po to, aby brać do nich Baedeckera i czytać jej, ile metrów ma długości który tunel, a jak się która góra nazywa. Ona słuchała i pytała się go, czy nie głodny. Widocznie nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia, bo skoro się nie żenowali „zresztą“, czemuż mieliby się żenować w rozmowie? Jeżeli jemu to wystarcza, tem lepiej dla niego; jeżeli jej to wystarcza, tem lepiej dla niej... *Wahlerverwandschaft* przedewszystkiem. Kura z kaczką, czy indyczką zrozumie się łatwo, ale rajski ptak z sokołem nigdy...

Znów gdzieś daleko bije dzwon... Burza poszła stroną, cicho jest i łagodnie. Niezmierzna jakaś melancholia schodzi na świat. O takiej porze—jak to jest u Słowackiego?—jeśli coś mają zapomnieć, zapomną... Czy tak?

Czytelniku, któryś się jeszcze nie ożenił, a ożenisz z dziewczyną młodą, śliczną i dobrą, przyjedź tu, do Desenzano. Będziecie sobie chodzili po gajach nad wodą, która jest nieba kawałem odjętym, a ma w sobie taką senność jakąś, taki spokój niezmierny i cichość. Będziecie sobie tu chodzili, będziesz róże zrywał i dawał jej, a ona przypinać będzie róże do gorsu z takim anielskim uśmiechem... To jest dosyć przykre, jeśli się na całym wielkim świecie niema komu jednej róży dać... Wszak sam Bóg rzekł: źle jest człowiekowi samemu. Ja znam jeszcze jedno słowo, nie tak wielkie, ale smutne, jak śmierć...

Będziecie sobie chodzili nad jeziorem, przytuleni do siebie, rękoma opleceni nawzajem, ona z główką na twoim ramieniu, albo wsiądziecie w łódkę i puścicie się na ten kryształowy sen wód, na te przejrzyste, złotawe lazury jeziora. Będziesz ją miał przy sobie, tę twoją ukochaną, serdeczną, blisko, „bijącą sercem, brylantową w oczach“... Powoli, powoli, ogarnie was jakieś omdlenie. Tobie wiosła wypadną z rąk, a ona pochyli się ku tobie jakby mimowolnie, upadnie ci na piersi i szepnie: „Kocham“... A ty jej wtedy odpowiesz: „Oto serce moje jest w twojem

ręku, jak ptak zmęczony... masz je całe, całe, i możesz wszystko z niem zrobić“...

Bywają różne dusze kobiece, ale są także takie, jak gwiazdy.

Może kiedy który z czytelników siedzieć będziesz ze swoją ukochaną na tej samej werandzie *Hotel da due colombe*, pod bluszczową altaną, w której ja piszę w tej chwili; będziecie sami, bo tam jest pusto. Przypomnę ci się ja, żem ci tu poradził przyjechać, a jeśli znasz moje wiersze, przypomni ci się może moje preludium:

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,  
Słowa twe dziwnie poją i kołyszają,  
Jak kwiatem, każdym słowem twem się pieścą...  
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową  
Tęskniłem lata... Każde twoje słowo  
Słodkie w mem sercu wywoływa dreszcze...  
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze...

Są chwile takie, jak chwile śmierci—kiedy się wszystko przypomina tak żywo, tak wyraźnie, kiedy słyszysz szelest oddechu i szelest sukien, słyszane kiedyś dawno, dawno, może lata całe temu, kiedy ci się zdaje, że przy dłoni czujesz dłoń, co się jej może lata całe temu dotykała... Odpędzaj takie chwile przyjacielu i *carpe diem*, korzystaj

z dnia, jak radzi rzymski poeta. *Vogue la galère!*...

W jezioro wbiega cypel kamienny, na którego końcu zapalili przed minutą światło na murowanej latarni portowej, — portowej, bo to jezioro ma coś koło 500 kilometrów powierzchni, coś 60 kilometrów na długość. Pły nie się też przez nie przeszło cztery godziny z Rivy do Desenzano. Pamiętam jeden efekt światła z drogi. Woda była koło statku tak lazuruwa, że przypominała mi prawie słynną Grotta d'azure w skale kapryjskiej wysepki; dalej przechodziła powoli w ton niebiesko-stalowy, aż koło brzegów zdawało się, że brązowo-pozłocisty pył giętą tęczą zawisł na wodzie wzdłuż gór, które w nią wbiegły. Na górach niebiesko-szare mgły i wielkie, białe w nieruchomych kłębach obłoki, nad nimi wierchy w łukach i przełęczach i gęste płaty śniegu w słońcu. Poza nami szreżoga, jezioro i skały podcięte i skruszone, ginące gdzieś w oddali, po brzegach tu i owdzie domki białe i cytrynowe ogrody, w piętrach, wśród białych, murowanych słupów.

Po jeziorze w zmroku płynie łódka, bez szmeru, jak sen. Naprawdę! Tu jest bardzo „poetycznie“. To słowo tak dziwnie jakoś brzmi, a jednak wydaje mi się w tej chwili najlepszym określeniem tego, co widzę. I ja,

który to piszę tu, na tej werandzie hotelu da due colombe nad Lago di Garda, w bluszczowej altanie, jak sarkofag, z ogromną wodą pod nosem, z latarnią portową z boku z dzwonami, które tu ciągle dzwonią i z grzmotami, które się gdzieś w wielkiej dali od czasu do czasu odzywają poza mną; będę się tam, waszym czytelnikom, wydawał poetycznym—prawa?

„Mit schwarzen Segeln segelt mein Schiff  
Wohl über das wilde Meer?“ \*)  
O czarnych żaglach okręt mój  
W dal dzikiem morzem mknie...

Przez chwilę miałem wrażenie, jakby się jakiś potwór wydobywał z ciemnego już całym jeziora. Statek, którego ani widać, ani słyszeć nie było, a który tu widocznie przychodzi z Rivy tak późno, począł dawać sygnały, ale głos nie odrazu wyszedł z kotła i w tej ciszy wieczornej rozległ się nagle jakiś potworny jęk; powietrze przedarło jakieś dławienie się czegoś strasznego i olbrzymiego. Mógł by to być jakiś kolosalny hipopotam, o krwawo-czerwonych oczach i krwawo-czerwonej rozdartej paszczy, coś okropnego, co idzie gruchotać, pożerać i topić. Teraz słyszeć, jak koła warczą i widać światło — sta-

\*)] Heine.

tek przybija do brzegu. W powietrzu robi się parno: błyskawica cicha, szybka i złowróżbna przemknęła nad Lago di Garda.

A tam u nas o tej porze, w polskiej wsi?... Psy szczekają koło chałup, koniuchy gdzieś na ligawkach grać zaczęły na pastwiskach, gdzieś dziewczuchy zawodzą, wracając z pola. Zboże pachnie i szumi, siana pachną po łąkach i sady pachną jabłonne i wiśniowe.

Puszczyk się gdzieś w borze odezwie, albo puchacz nad głową załopoce, żaby skrzeczą po stawach i świerszcze ćwierkają jednostajnie i smutno.

Idą dzieci, cienko śpiewając:

„Kajsi ten mi polecioł,  
Co mi butki obiecoł  
A dy stoi za lasem,  
Tsyma butki za pasem...”

Harmonika gdzieś gra, albo skrzypce, albo pan pisarz prowentowy tęsknie gdzieś do panny służącej ze dworu zawiedzie:

Ani ja sieje, ani ja orze,  
Zosienko moja,  
Tylko z twej przyczyny kości w ziemi złoże,  
Moja jedyna!...  
Tak, z twej przyczyny zmarnie mi wiosna,  
Zosienko moja,  
Boś jest okrutna i bezlitosna,  
Moja jedyna!...

Tak pan pisarz prowentowy tęsknie zawodzi do panny służącej ze dworu, gdzieś tam po księżycu chodząc pomiędzy chłopskie parkany, tam, u nas...

Może on jest śmieszny, ale pomyślcie, że ja jestem tyle od niego mil, w jakimś zakazanem włoskiem Desenzano i że naprawdę „mit schwarzen Segeln segelt mein Schiff wohl über das wilde Meer...”

---

## Z POD „ŻELAZNYCH WRÓT” I „ŻELAZNEJ BRAMY”

(1895).

---

Rzadko komu się zapewne zdarzyło być w piątek jednego tygodnia nad Szczyrbskim jeziorem w Tatrach, a w poniedziałek na drugi tydzień w Orszowie nad Dunajem — ale z człowiekiem dzieje się czasem tak, jak ze szczupakiem, któremu oścień w grzbiet wbity z drzewca się ułame: rzuca on się wówczas z żelazem w sobie to na środek stawu, to na brzeg podpływa, aż go gdzieś wreszcie licho weźmie.

Nad adryatyckimi błękitami, na lagunach weneckich, zatęskniło mi się za kosodrzewiną i zapachem limbowym, więc choć nie wprost, przeciwnie do nich dobił.

Całe Podkarpacie, czyli raczej Podtatrze od węgierskiej strony nierównie romantyczniej się przedstawia, niż nasze nowotarskie



okolice: góry są większe, dziksze i skalistsze, pełne wspaniałych wąwozów i urwisk, a potężne rodziny Illyezhazych (wygaśli w 1835 r.), Thurzów (wygaśli w XVI w.), Palffych i Erdödych rozrzuciły tam zamki, często ogromne i wspaniałe, czasem małe orle gniazda, przyczepione do krzesaniny skalnej. Okolice Wagu czyni się stąd podobną cokolwiek do nadreńskiego porzecza, z innych względów zresztą całkiem od niego różna.

Zamki te wszystkie są w ruinie, niektóre tak porozpadane i omszałe, że je trudno prawie od skał, na których stoją, odróżnić. Drogi do nich zarosły i pustka w nich osiadła. Mają w sobie wszystkie ogromną melancholiję rzeczy umarłej.

Do stacyi Czorda pod Szczyrbskiem jeziorem, przyjechałem nazajutrz po otwarciu tam kolei zębatej, która wiedzie od stacyi nad samo jezioro. Jedzie się nią pod górę zapewne koło trzech kwadransy, z górą bowiem podróż trwa przeszło pół godziny. Dla turystów kolej ta jest wielką wygodą, przytem droga jest bardzo ładna. Jedzie się wykarczowanym lasem, wijącą się w zakręty linią, a nadszczyrbskie góry to się kolejno ukazują nad drzewami, to nikną. Od Krywania i poza nim jeszcze orawskich kopie, aż po szeroką turnię Kończystej z sterczącym poza

nią skrajem Gerlacha i stokiem Sławkowskiego szczytu: rozwijają się tu Tatry przed oczami. Krótka, Ostra, Solisko, Szczyrbski Wierch, Baszty i Szatan, Czubryn, Mięgoszowieckie Turnie, Rysy, Wysoka, Ganek i Żelazne Wrota: piętrzą się tu szeroką ścianą nad doliną Furkotną, Młyniczną, i Mięgoszowiecką.

Przyjechałem do Szczyrby wieczorem, a noc była księżycowa, zaraz po pełni. Wielki księżyc wyszedł gdzieś z za Kończystej i sączył się szklanem, matowem światłem na jezioro. Gończe psy, które widziałem uwiązające się nad brzegiem, poczęły zdaleka szczeleć: w Młynicy gdzieś odezwało się echo. Poczęło też grzmieć, głęboko w górach. Czyniło to wrażenie, jakby cała zgraja ogarów zagrała w turniach i jakby jakiś tatrzański Ruebezahl, czy jak się tam to alpejskie strzeleckie widmo nazywa, przy psów graniu i grzmiących wystrzałach, mgliste rozpoczął łowy. Głos niósł się ciemną przestrzenią, het, het, aż gdzieś nad wierchy.

Tymczasem pod mojem oknem pluskały się wydry, łapiąc ryby, w jeziorze i chrobały gryzionemi kośćmi, a kuny smyrgały między krzaki.

W słowackich górach, na Liptowej i in-dziej, niemało grozy dodają puszczyki nawo-

tujące się po lasach: w Tatrach nigdy ich nie słyszałem. Czasem odezwie się inna jakaś sowa, ale i to rzadko. Puhacz tylko niekiedy przeleci cicho, jak upiór i przypadnie w ciemni.

Nazajutrz, choć deszcz lał, jak z cebra, poszedłem ku Popradzkiemu jezioru. Zapachniał mi kosodrzew halny, zapachniały mi limby, zaszumiał mi potok i wiatr... Coś rwie w górę, jakby skrzydła u ramion rosły... Pierwszy raz byłem tu sam, sam jeden. Ty-leśmy tu razy przychodzili z naszych gór, z Zakopanego, huczną, wesolą bandą — teraz byłem sam i przybyłem tu z obcej, dalekiej strony. Dawniej wydawało mi się tu tak odległe, tak nieswoje, a teraz jest mi tu tak, jak i indziej. I dawniej ciągnęło nas coś z tych urwisk górskich, tu, albo tam; a teraz tak mi jest wszystko jedno... Człowiek staje się, jak ów podróżnik Baudelaire'a—płynie i pły-nie. Przypomina mi się jakiś wierszyk, który tak o tem mówi:

Dopóki miałem gdzieś dom oznaczony,  
A kędyś w obcą zaleciałem dal,  
Daleko było mi do mojej strony,  
Ryło mi tęskno i było mi żal —  
Lecz dziś, gdy nigdzie niema mego domu,  
Równie mi pusto wśród świata ogromu.

Pókim się ludził, że jestem kochany,  
Że czyjaś pamięć wszędzie z sobą mam:  
Choćbym był zabiegł gdzie na oceany,  
Lub w step niezmierny: nie czułbym się sam;  
Lecz dziś, po chwili zgasłej bezpowrotnie,  
Wszędzie mi równie smutno i samotnie...

A kiedym sobie w kosodrzewinowym lesie,  
na głazie śródstrumiennym siedząc, począł  
przypominać nasze dawne zejścia do tej do-  
liny z wierchów przy huczących śpiewkach  
góralskich i huczmem, młodem weselu w du-  
szach: zrobiło mi się tak smutno i samotnie,  
że wieczorem wsiadłem na kolej i z pod Żelaz-  
nych Wrót nad Popradzkiem jeziorem ruszy-  
łem ku Żelaznej Bramie na Dunaju. Bo z czło-  
wiekiem dzieje się czasem tak, jak ze szczy-  
pakiem, któremu wbity w grzbiet oścień od-  
łamię się z drzewca: rzuca on się na głąb  
i znowu pod brzeg podpływa, aż go gdzieś  
wreszcie licho weźmie.

Przyznam się, że czy to, że zapomniałem,  
czy też może mię wcale o tem nie objaśnio-  
no w geografii, ale zupełnie inaczej ją sobie  
wyobrażałem, jak wygląda w istocie. „Żelazna  
Brama“—a więc myślałem, będą to turnie  
z wody sterczące, przez które się Dunaj prze-  
rzyna i że te turnie rozsadzono; tymczasem  
rzeczywiście rozsadzono, ale skały w wodzie  
zaryte i tamujące bieg statków podczas opa-  
du głębi.

Pod Żelazną Bramą, która już jest na terytorium serbskiem, a raczej na rozgraniczu terytoryów austro-węgierskiego, rumuńskiego i serbskiego, podpływa się w długiej łodzi z dwoma wiosłarzami i sternikiem. Ci wiosłarze i sternik są to Turcy. Turcy autentyczni z naddunajskiej wyspy Ada-Kale, co znaczy po turecku wyspa-twierdza. Wyspa ta zamieszkała przez ludność rdzennie czysto turecką, zdaje mi się około 600 głów liczącą, wolną jest od podatków, cła i służby wojskowej, nie należy do nikogo i rządzi się sama. Zdaje mi się, że poprostu podczas kongresu wiedeńskiego w 1815 r. musiano o niej zapomnieć i nie przydzielono jej nikomu; może się mylę, ale nie mam w tej chwili pod ręką ani żadnej historii, ani austriackiego Baedekera.

Wyspa ta ciekawą jest ze względu na ruiny twierdzy, które ją literalnie prawie całą zajmują. O podobnych rozmiarach fortecy i o podobnej grubości murów nie miałem pojęcia. Ile dziesiątków tysięcy wojska można w niej było pomieścić—nie wiem, sądzą jednak, że w podziemnych i naziemnych kazamatach drugie tyle mogło się zmieścić jeńców w jasyr wziętych. Twierdza, oblana dookoła wodą, przy swej kolosalności i budowie, musiała być w swoim czasie niezdobytą; na-

tomiast pan jej panował nad znaczną częścią Dunaju i jego wzgórzystymi brzegami, gdzie dziś stoją vis à vis siebie sztyldwach serbski i austriacki, sympatyzując z sobą mniej więcej, jak kokos z małą.

Ada-Kale jest przedewszystkiem bazarem tureckim. Sądzą, że wszystko to, czego by się nie kupiło w Konstantynopolu lub Damaszku, dla zbytnej autentycznej lichoty, tu się kupuje dlatego, że autentyczne. Są więc tureckie makaty, tureckie papierosy, tureckie sorbety, turecka kawa—są i Turczynki. Chodzą jak nad Bosforem, w szerokich hajdawerkach i przepaskach na twarzy. Czy jest tu jakiś harem, nie wiem; meczet jest, bo w nim byłem. Nędzna drewniana buda, z wypisami z alkoranu na ścianach i wieżą, skąd muezzin krzyczy trzy razy na dzień, zwołując wiernych na modlitwę.

O ile Turcy tutejsi, pozostałość z epoki tureckiego panowania w Węgrzech, zachowali swój typ, trudno mi osądzić, widziałem bowiem z bliska jednego tylko Turka, który był krupierem w Monte-Carlo—(Boże mu odpuść, bo ja nie mogę!). Są to wogóle ludzie tędy i przystojni. Mówią po niemiecku i serbsku, no i—ma się rozumieć—po turecku.

Takich trzech brudnych, odrapanych i smolno-śniadych oberwańców wiozło mnie po Du-

naju ku Żelaznej Bramie. Dzień był tak upalny, że się zdawało, iż Dunaj wre. Nagle zawrzało w nim coś rzeczywiście: woda zakotłowała się, jakby jakiś potwór z dna się dzwigał. Myślę sobie: cóż to u diabła za straszliwa ryba takie gwałty podwodne wyprawia?! Jeżeli jej przyjdzie ochota huknąć ogniem w łódkę, Turcy pójdą do raju na łono huryszek, a do mnie da się zastosować z Byronowskiego Giaura:

Lecz ty niewierny, ciebie anioł śmierci,  
Monkir, swą kosą rozedrze na ćwierci...

Sternik jednak, a zarazem kapitan okrętu i cicerone objaśnia mi, że to pierwsza „Żelazna Brama”—a więc to to—i tylko tyle!

Te żelazne bramy, czyli skały podwodne, trzeba umiejętnie wymijać, gdyż rozbić się o nie, lub wywrócić na nich bardzo łatwo, a jest ich, po prawym zwłaszcza brzegu Dunaju, kupa.

Samą właściwą żelazną bramę rozsadzono już dynamitem, a obecnie \*) olbrzymie maszyny, podobne zdaleka do statków wojennych, wydobywają połupane kamienie z łożyska. Roboty, prowadzone przez inżynierów węgierskich, trwają lat pięć. Wymurowano

\*) Pisałem w lecie 1896 r.; od tego czasu roboty dawno już ukończono.

kanał na dwa kilometry długi, którym statki w każdej porze, bez względu na stan wody, płynąć będą mogły ku morzu i z powrotem. Dzieło to, które kosztowało masę milionów, ma dla miejscowego handlu olbrzymią doniosłość.

Powrót ku Orszowie mniej jest przyjemny, niż podróż ku Bramie z biegiem fali, albowiem dwaj wioslarze muszą wyleźć z łódki i drepcąc po brzegu, ciągnąć ją na linie, jak u nas na Wiśle konie galary; sternik tylko zostaje na miejscu i długim drągiem kieruje łódką. Dreptanie to trwa parę godzin, ludzie się męczą, a podróżny czuje się skrępowany tą liną tem więcej, że na wodzie właśnie czuje się zazwyczaj więcej swobody, niż na lądzie. Przeprawa z serbskiego brzegu do Orszowy, z rozpiętym żaglem i obu wiosłarzami w łodzi, jest prawdziwem odetchnięciem.

Obustronne wybrzeże Dunaju stanowią wzgórza poroste zielonymi lasami i gajami. Krajobraz pogodny i słoneczny. Rośnie tu srebrzysta wierzba włoska i mnóstwo egzotycznych roślin i kwiatów.

Czarno i płomiennie-okie rumuńskie piękności spotyka się tu już często w ich fantastycznych, barwnych strojach. Barwność zresztą stroju rośnie przez całe Węgry w miarę

posuwania się ku południowi. Uderzyły mnie szczególnie u kobiet kolorowe fartuchy, puszczane przez brzech niżej kolan i przez tył niżej łydek, z boków szeroko rozcięte, lub też kolorowe pasma włóczek tak samo przez brzech i tył puszczane ku ziemi na białych koszulach. Słowiańskich typów widzi się co krok mnóstwo; spotykałem także naszych galicyjskich górali i zagórzeń, wracających bandami z robót na Węgrzech. Odznaczają się przedewszystkiem tem, że wyglądają bardzo biednie. Nie widziałem nigdzie biedniej wyglądających ludzi, chyba w okolicach Neapolu.

Jeżeli się trochę świata raz i drugi raz zbiegło, to potem tworzy się w pamięci jakaś mozaika z miast i gór, stepów i pól, jezior i rzek, sadów i winnic, zamków i miast: miło jest sięgnąć myślą wstecz — — cóż, kiedy czasem dzieje się z człowiekiem, jak z owym szczupakiem, któremu w grzbiecie tkwi odłamane z żerdki żelazce. Wówczas, dopóki licho nie weźmie, wszędzie jest równie „smutno i samotnie“.

## Z NAD MORZA.

(1895).

Co to za idealne miasto dla stróżów! Jednych ulic nie trzeba kropić, bo są zawsze mokre, drugich się nie polewa, bo to nie w zwyczaju.

Chciałbym być stróżem w Wenecyi.

Co to za dziwne miasto, gdzie się wodę sodową w koszach rozwozi z fabryki na łodziach, gdzie się mieszkania szuka łódka, gdzie przejść można 358 mostów, i gdzie się nawet spokojnie upić nie można, bo niedość, że mogą zaaresztować, jak wszędzie, ale nadto można się stoczyć w 150 kanałów. <sup>Doprawdy,</sup> tu się stwierdza maksyma, <sup>że i gdzie, jak</sup> Włodzimierza Zagórskiego, <sup>„że i gdzie, jak</sup> „gdzie, a w szynku najbezpieczniej...“ <sup>worsli i</sup>

Pełno tu cudzoziemców, <sup>prze ważnie angli-</sup> ków i Niemców. <sup>Sezon, włoseni, jeszcze się</sup> nie skończył, a sezon pioski <sup>kapellina Li-</sup>

do już się zaczyna: jedni jeszcze nie wyjechali, inni już przyjeżdżają.

Właściwie w Wenecyi są tylko trzy uciechy: gondole, doskonała muzyka co wieczór na Piazza di San Marco i kąpiele morskie. Po za tem, kiedy się obejrzy pałac dożów i ich grobowce, galerye Akademii i Tycyany po kościołach—to miasto jest jednym z najnudniejszych na świecie: Jest jeszcze jedna uciecha: wieczorne serenady na Canal Grande, dokąd się podplywa na gondolach. Gondola obok gondoli, stoją ich całe rzędy. Włosi grają i śpiewają, a jednak jest cicho; pośród tych pałaców ciemnych i opustoszałych zawsze jest cicho. Coś cmentarnego przewiało nad Wenecją...

W gondolach całe towarzystwo po pięć, sześć osób, albo pary, przytulone do siebie, ciche, zatopione w sobie. O ile śpiew ustaje, pełno gwaru i śmiechu, albo szeptów. Zdaje mi się, że tylko moja jedna gondola bywała pusta.

Kiedy się odpływa od miejsca, w którem śpiewają nad wodą, daleko jeszcze między pałace goni śpiew, załamuje się wśród murów i filarów i przepada gdzieś w pustkowiu.

Gondola płynie bez szelestu prawie i to jest główny jej urok, możnaby tak, zdaje się, dniami całymi dać się kołysać. Tylko przy

takim zupełnym spoczynku, takim bezruchu ciała i takiej fizycznej bierności, myśl zaczyna w dwójnasób pracować, a czasem niema większego nieprzyjaciela życia, jak myśl.

Każdy półsenny ruch gondoli przynieść może nowe wspomnienie, obudzić cień jakiejś umarłej chwili—i tak płynie się gdzieś w otchłań wspomnień, na cmentarz własnej duszy.

A czasem przypomni się w gondoli coś np. takiego:

Zwei Damen gingen zum Spaziern  
In einen schönen Garten:  
Die eine wurde gleich—geküsst,  
Die andre musste warten...

W Wenecyi trafiłem na uroczysty obchód rocznicy nadania konstytucyi. Domy i pałace obwieszane flagami, ani cienia jednak tej wesołości i swawoli, jaką widziałem kiedyś w dzień rocznicy jakiejś wygranej nad austryakami w Medyolanie.

Tam roily się przedmieścia od bud cyrkowych pajaców, muzyki; tu bito z dział wojennych statków i muzyka przeciągała po ulicach, poza tem nie widziałem nic.

Wieczorem uilluminowano miasto i rzucano elektryczne zielone i różowe światła na kościół ś-go Marka, co w istocie czarodziejski

sprawiało widok. Za każdym rzutem blasku chmury gołębi wylatywały z trzepotaniem skrzydeł nad plac i pałace i krążyły spłoszone, póki blask płonął. Podobnie latają gołębie nad domami podczas nocnych pożarów.

To oświetlenie było przesłiczne, ale robiło wrażenie coś teatralnego, jak wogóle cały plac ś-go Marka robił na mnie wrażenie z początku—dekoracyi z opery i musiałem powtarzać sobie, że to nie jest dekoracya, tylko miasto i nie kartony, ale marmury.

Być może, że tyle razy widziało się ten plac lub place na jego wzór robione na scenach, że trudno poprostu opędzić się temu wspomnieniu.

A plac to tak cudowny, zwłaszcza wieczorem, gdy na kolumnady i kościół padają światła i cienie od latarni i księżycy, a na dole czerwienią się kwiaty u kapeluszy całej masy pań, siedzących w cukierniach na wolnem powietrzu. Podczas iluminacyi miało się zdaleka wrażenie jakby ogrodu pośród gmachów i wież.

Zblizka ogród ten tracił, bo weneçyanki nie są ładne; nie wiem czy przez dziesięć dni mego pobytu widziałem cztery ładne kobiety: są nadto chude i źle zbudowane, wątle; rasę na nich znać, jak na wszystkich włoskach. Białe i tłuste niemki wyglądają

przy włoskach jak kalafiorzy przy szparagach; oprócz tego wyglądają przy nich, jak służące przy paniach.

Na Lido popołudniu tłum. Żenady tam niema żadnej: panowie w niesłychanie skromnych kostyumach, lub prawie bez kostymów, panie także bardzo swobodnie. Zwyczajnie jak w kąpielach morskich między europejczykami.

Chciałbym widzieć tam jaką naszą stołecznonarafiańską gęś, która wyprowadza swoje latorośle z teatru przy słowach „Emilia uległa,” albo te polskie gąski, które udają, że są tylko po kołnierz i po mankiety, a po za tem wcale ich niema. In unser'n Kleidern stecken wir alle nackt — powiedział stary Goethe.

Anglicy, którzy, jak wiadomo, nigdy nie z nikogo sobie nie robią i wszędzie są, jak u siebie w domu, wpadają w morze całemi bandami, kąpią się razem, śmieją się, biją wodę, panowie biorą panny na ręce i trzymają na wznak na falach — bawią się, jak przy krokiecie, lub lawntenisie. Niemcy, ordynarni, jak zawsze, klepią swoje niemki po twarzach.

Morze tymczasem pokazuje swoje cuda. Pamiętam, że raz wskutek jakiegoś dziwnego układu chmur i słońca, odcieło się od

brzegu w głąb daleko półkole jakiegoś ciemno-szafirowego i ciemno-fioletowego koloru, otoczonego olbrzymim morskim półkregiem przedziwnie złocistego szmaragdu, dalej gdzieś przechodzącego w srebrniejący błękit u krańców. Było to zupełnie morze w morzu, zjawisko tak cudowne, że zdumienie ogarnęło publiczność na Lido; rozmowy się prawie w pół słowa ucięły.

Czasem morze było ciche, tylko gdzieś porywały się fale, jakby srebrne łabędzie do lotu, albo całe ich stada.

Wogóle Adryatyk wydał mi się zieleńszym, niż Morze Śródziemne, które np. pod Neapolem bywa zupełnie lazurowe. Niemcy mają swoje specjalne wyrażenie „Neapelkrank“ i rzeczywiście do tej zatoki tęskni się zawsze. Jest przecież jakaś piosnka:

„O Neapolu, precudny kraju,

Kto cię nie widział, nie poznał raj...“

Lido całe, jak ogród, pełne drzew zielonych, jarzyn, owoców i czerwonych maków. Można błądzić po alejach wśród zarośli, w których się całkiem niknie. Zdawało mi się, że to gdzieś z Koprowej, czy Wierchcichej doliny szumi mój wiatr tatrzański. Wiedziałem przecież gdzie jestem, a jednak wybiegałem na wał pobrzeżny z zarośli: to

fale, białe i zielone fale wpadały z szumem na piasek, to nie był mój tatrzański wiatr, obce mi morze...

Es ziehen die brausenden Wellen  
Wohl nach dem Strand;  
Sie schwellen und zerschellen  
Wohl auf dem Sand.

Sie kommen gross und kräftig  
Ohne Unterlass;  
Sie werden endlich heftig—  
Was hil t uns das?

Was hilft uns das?...

A pamiętacie zaraz następujący potem wiersz? To są takie cudowne rzeczy:

Es ragt ins Meer der Runenstein,  
Da sitz ich mit meinen Traumē,  
Es pfefft der Wind, die Moewen schreien,  
Die Wellen, die wandern und schäumen.

Ich hab' geliebt manch schoenes Kind  
Und manchen guten Gesellen—  
Wo sind sie hin? Es pfeift der Wind,  
Es schäumen und wandern die Wellen.

Wo sind sie hin?!

Smutku i tęsknoty niepodobna genialniej wypowiedać, niż wypowieda Heine:

Wo sind sie hin?!  
Es pfeift der Wind,  
Es schäumen und wandern die Wellen...  
Und sie werden endlich heftig—und was hilft  
uns das?! was hilft uns das?!



Nigdzie nie daje się tak uczuć pustka, jak nad tą niezmierną pustynią, nigdzie żal, jak nad tym głuchym, jednostajnym szumem. Dziwna, przygniatająca jest obojętność tego żywiołu, obcość jego szalona. Tymczasem fale szły i szły, padały na brzeg, rozlewały się kipiąc i cofały wstecz — i ciągle było to samo, ciągle to samo—und was hilft uns das?...

Pojechałem nad inną stronę morza, do Tryestu. Tam jest ono tak ciche, jak jezioro, obmurowane i poprzecinane murami: wielki port handlowy. Mnóstwo statków, okrętów, łodzi. Ruch, hałas, ładują, wyładowują, przyplływają, odpływają, handel w całej pełni. Wprost okna hotelu, w którym mieszkałem stał okręt z drzewem; po ułożonych równo, okrzesanych w kanty pniach chodziła mała suczka z młodym pieskiem. Myślałem sobie, że taki byłby w ambarasie, gdyby się go spytano, czem był jego ojciec? Może to był kundys z Fiume a może pudel z Augong? Taki morski pies nie może mieć legitymacyi.

Równie nudnego miasta jak Tryest w życiu nie widziałem. Tylko kasztany tam ślicznie pachną w parku i ślicznie mnie pożegnał: pożegnał mnie morzem wieczornem, ciemno, a bardzo silnie niebieskiem, pod kaskadami chmur, nad którymi był błądy [miesięczny

sierp. Widok był dziwnie piękny i dziwnie smutny. Pojechałem dalej w świat.

Widziałem teraz dużo ras ludzkich i można było na temat doboru organizmów i mieszania się typów robić różne waryacje. Zdało mi się, że byłoby najlepiej, gdyby się narody poczęły bardzo łączyć ze sobą. Namby było może najkorzystniej wprowadzać w naszą krew—krew angielską.

Oddalenie ma w sobie jedną wielką przykrość: oto nieraz chciałoby się wiedzieć, co się z kimś dzieje, gdzie teraz jest, czy ma się dobrze, czy źle? Chciałoby się czasem poprostu przejść tą ulicą, po której czyjeś stopy szły, albo po której my sami chodziliśmy kiedyś. Tymczasem jest się tak daleko...

## Wyjście w góry.

Wzmagał on się poza wierchami i runął w dół, gorący, nieodparty, nawalny, miecąc tumanami chmur i gęstą, rzesistą siekawicą. Uderzył z taką mocą, aż las pokłonił, ustał i znowu runął. I tak z przerwami, już potem suchy, bez deszczu, obalając jasionie (jesiony) i lipy przy chałupach, rwąc dranice z dachów, króćąc (łamiąc) las, dał przez noc i dzień aż do południa, tłoczył z poza krzesanic kłęby chmur na przewyrt w doliny i krył w pomroce, w mroku chmur, Tatry. A gdy deszcze po nim, mocna wiosenna lić, dwie doby przelały i słońce się zaiskrzyło na niebie, gazdowie z pod Świnnicy i Giewontu uznali, że czas już ku Stawom statek (trzo-dy) wygnać, bo śniegi wyginęły i Kopa Ma-góry radośnie zazieleniała.

Było to w początku wielkiego maja (czerwca).

Wzięto się więc do mycia i czyszczenia sprzętu szalaśnego, kotłów miedzianych, pucier, gieleł (drewniane naczynie z pałąkiem do dojenia owiec), oboniek (płaskie okrągłe naczynie do zwozu mleka), skopców, czerpaków. Juhasi poczęły smażyć w maśle kozule i strugać strzały, naprawiać kołczany; kto miał, to opatrywał rusznicę, lub pistolety na krzemień. Powszechny ruch, powszechna wesołość nastąpiła.

Na wtorek trzy dni przed Zielonemi Świątkami nazaczył bacia dzień miesania (mieszania). Ze wszystkich osiedli w pobliżu Hrubego zegnano owce na polankę przed domem Topora Jasicy, gdzie czekali już na nie bacia Sobek i juhasi. Tam każdy gazda oddawał swoje stadko, a potem zmieszano wszystkie owce razem do wielkiego zagrodzenia, kossaru. Jeden juhasi wziął koronkę w rękę, drugi z zagrody owce puszczał, licząc, a gdy krzyknął z orawska: desat! — juhasi paciorek różańcowy przesunął. Owiec było tysiąc dwieście, które bacy gazdowie na lato powierzali.

Osobno stały krowy z pasterkami i młode woły z wolarzami, do szalasów należącymi. (Szalas nadawał nazwę tylko pastwisku owiec). Stało i kilkanaście koni, mających lato spędzić na hali.

Z mrocznej szarej mgły wyłaniały się wierchy, bystro słońcem złocone, w pełnym obłoków niebie tonące. Liliowo sine i fioletowe były te obłoki, które wiatr po szafirowym niebie gnał. Bo wiatr dał silny w to rano wyganiania na halę.

Wierchy jakoby się ściagały z obłokami, to miały je przed sobą, to za sobą, to ginęły w nich; to znowu ponad szczytami skłębił się tuman kolorowy, a czasem rozbił się w strzepy i rozleciał właśnie w chwili, kiedy blask słońca ugadzał, jak gdyby złotawy ryś wpadł między stado barwistych cietrzewi, sinogarlic i dzikich gołębi na kępach podkrywańskich.

Mnóstwo bab, chłopów, dzieci zebrało się żegnać juhasiów, pasterki i swój dobytek. Matki całowały córki, ojcowie upominali synów, ażeby trzody warowali przed wilkiem i niedźwiedziem, bacy słuchali, że zbójnikami, jakby przyszli w odwiedziny, byli grzeczni, co polecali tem więcej, że niejednen z nich sam za młodu „za buczki“ chadzał.

Stara Baganta dawała dziewczkom ziela od uroku, od porobiska, tak dla człowieka jedne, jak dla bydłęcia drugie, nieodbyte, gdy się rozdeptemu świeżą trawą bydłęciu spałstek (kawalek drewna) w pysk kładzie, a bokki gniecie. Brali i juhasi ziela, srebrne pie-

niażki dając, choć kłete naszyjniki na szyjach nosili.

Ten ów na owce, na statek swój spoglądał, baby krowy po karkach głąskały, osobliwie cieleta przez zimę podrosłe; smutno się im z niemi było rozstawać.

O pogodzie możliwej radzono, lato przepowiadano mokre zrazu, potem aż do jesieni suche i upalne.

Owiec zegnanych do kupy pilnowały już psy wielkie, kudłate, o wilczych mordach, białe, z obrożami kolczatemi na karkach, i obstawili je sobą juhasi zbrojni w ciupagi z brzęczącemi mosiężnemi kółkami na tyłcu toporzyska, w kije opalone na czarno, śpierrulce, oblaki bukowe, sękowce ze smreka, siekańce nasadzone krzemieniami, buńkosie, (maczugi obite mosiężnemi kółkami), wesołe brzękiem przy pochodzie, straszące owce, a straszne jako broń.

Na głowach mieli małe kapeluski czarne, okrągłe, płytkie, z wążkiem skrzelem, wysmarowane tłuszczem, z kostkami z morskich muszelek białych naszytemi na rzemyk, lub z mosiężnemi łańcuszkami owitemi do koła dla oporu na wiatr; ten i ów w kołpaku baranim w kształt perski, kostkami, paciorkami, koralikami oplecionym, włosy wymaszczone; na ramiona, od uszu dwie kiecki, hunc-

futy, we warkoczyki plecione, w paciorki i koraliki zdobne, na szyi brembulce, naszyjniki z kamyków, kulek i kawałków mosiądzu; koszula spięta blachą mosiężną z łańcuszkami, trzpieniem przekłuta, od pasa do pachy pas z pięciu klamrami, z ciemnej bronzowej skóry, nabijany świecącemi mosiężnemi i srebrnemi guzami, za pasem noże z trzema bulkami (kulkami) z mosiądzu na trzonku, u poniektórego pistolet. Koszula w maśle usmażana, czarna, połyskliwa, z rękawami rozszerzonymi ku pięści, że gdy chłop stanął, do kolan opadły kutasiki zdobne, krótkie, że ledwie z pod pasa nad portkami rąbką wystawała, a często gęsto chłop gołym bokiem i brzuchem błysnął. Portki białe, ze zaszczepkami niebieskimi i czerwonymi z włóczki, wążkie, obcisłe, w onycki wpuśczone i rzemieniem okręcone w pół łydki, na stopie kerpiec z jednego kawałka skóry. Przez ramię torby juhaskie z wełny czarnej i białej plecione, frombijami (frendzlami) zdobne, u niektórego rusznica na krzemień, ale z rzadka, zresztą łuki długie i kołczany strzał pełne, zręcznie z łyka szmerkowego plecione.

Ten i ów zaś to kobza skórzana, to piszczalka z wierzbowego drzewa, to fujera, (fujarka), lub trombity długa niezmiernie, czasem na półtora chłopu zdłuść (na długość),

rozszerzona u wylotu; tę osobliwie wolarze miewać lubili. Chłopy same rosłe, smukłe, gdzie niegdzie olbrzym dwie stopy nad sążeń, tu znowu chłop, jak pniak, zebrany w sobie, krótki, a z plecami jak łąwa. Na ramionach serdaki, guńki białe krótkie, nijako nie wyszywane; ten i ów kożuch na plecy odział.

Przy juhasach młode chłopcy, gońcy, czyli honielnicy, uczniowie na juhasów.

Zaś pasterki miały koszule białe, cyfrowane czerwoną lub czarną grubą nicią na ramionach, spódnice ciemne, wytłaczane w białe kropki, zapaski różowe; nogi w kierpcach tylko nie rzemieniami, ale czarnymi grubymi wełnianymi sznurami, nawłokami, owite, na ramionach chustki, stare guńki ojcowe, stare kożuchy macyne (matczyne). Mało która piechota, ale okrakiem na koniu na drewnianem siodle, na niem przewieszono obońki, garnki, skopce, rajtoki (dzieżeczki na mleko), worki z mąką. Tu znowu koń objuczony kotłami żelaznymi do gotowania strawy, sprzętem juhaskim, przyodziewą męską, dziewecką, zapasami we worach. Przytroczona do siodła tu i owdzie rąbanica krótka z szerokim obuchem, wygodniejsza od ciupagi do domowej roboty. Dziewki, co pieszo szły, na długim lejcu konie trzymały.

Dziewki bujne, urodne, piersiste i zasadziste, aż się spodnica dzieliła. A twarze rozmaite. Jedne podłużne, ciemnowłose, czarnookie, inne o włosach jasnych, oczach niebieskich, krótkie i kwadratowe z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi, nosy najgęściej orle, wspaniałe, o wązkich nozdrzach. A tak u chłopów, jak u bab twarze śmiałe, przytomne, myślące, pełne energii i ochoty,

Ruch był. Juhasi oganiali owce do kierdela (stada), a raz poraz który z radości, że już w hale idzie, pokrzyknął, gwizdnął lub ciupagę zbierzącą mosiądzem wysoko ponad głowę rzucił, że zawarczała młyncem w powietrzu i w rękę mu z brzękotem spadła.

Stał bacą Sobek jak buk pomiędzy gromadą. Ruszać już trzeba było, bo słońce wychodziło coraz wyżej.

— No cas! — rzekł popatrzawszy na stado uporządkowane i na słońce i na niebo.

I skinąwszy na starego chłopca, który mu kropidło podał i kotlik miedziany ze święconą wodą podstawił: szedł przed nim dookoła owiec, kropiąc je i modląc się o błogosławieństwo i zachowanie od nieszczęścia, poczem, na czoło pochodu wyszedłszy, krzyż ciupagą przed stadem na drodze uczynił i do góry ją ostrzem wznosił.

Błysnęła stal pod słońce, a to był znak.

— Ostajcie z Bogem!—krzyknął Sobek do pozostających.

— Boże prowadz! Zegnaj \*) Panbóg! Z Pa-ne Boge! — odpowiedziały mu setki głosów.

Zadęli juhasi i wolarze we fujery i trom-bity, zabręczeli na kobzach, gwizdnęli na piszczałkach, zadźwiczeli na gęślach, zazber-czały metalowe kółka przy ciupagach i obi-jane metalowemi obrączkami maczugi; hu-knęli ci, co nie grali, krzyknęły na krowy pasterki i klasnęły w bice wolarze. Szczek-nęły psy i zatętniał tupot racie owcezych i by-dłęcych i tętent kopyt końskich. Ale cudo-wnie, melodyjnie, uroczyście zagrały tysiące spiżowych dzwonek u szyi trzód. I pochód ruszył. Konno i pieszo otoczone stada, więdziane przez bacę, naprzód w olbrzymiej wy-dłużonej gromadzie, potem krowy, potem wo-ły, poczęły się sunąć drogą przez Toporową polanę. A wraz rozległo się wyskanie, wysoki krzyk, pasterek i młodych gońców i kilkana-ście głosów, przy jęczeniu fujar i trombit, rzepoleniu gęśli i piszczałkach, przy basowa-niu kóbz zawiodło:

Hej baco nas, baco nas, podź s nami na sałas,  
popod białe skole na śleobodnom wole!

Hej baco nas, baco nas, powiedz ze nas hore,  
bo my uzdajali w turnickak obore!

\*) błogosław.

Hej baco nas, baco nas, kielo baranów mas,  
kielo mas owiecek, kielo mas dziewecek?

Rozłamał się chór—mężczyźni zaśpiewali:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam mleka,  
my ci przywiedzieme z pod Krzywiania byka!

Zaśpiewali mężczyźni, a dziewczki odpowie-działy:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj nam syra,  
co jo eie niebedem do rania budziela!

I znowu chłopci:

Hej baco nas, baco nas, nie załuj zynityce,  
my ci wybiereme uherskie piwnice!

I dziewczki:

Hej baco nas, baco nas, podzwól zatańcować,  
co ci dam, to ci dam—nie bedzies załować!

I znowu chórem wszyscy:

Hej w polany, w polany—kosiar murowany,  
murowany kosiar — bacia jako cysar!...

Huuahahauuu!

Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście gra-ły tysiące spiżowych dzwonek u szyi trzód.

Szli juhasi, pasterki, trzody, konie z hu-kaniem, brzękiem, muzyką, śpiewem i cudo-wną grą tysięcy dzwonek. Rzucane w po-wietrze i chwytane w rękę migotały ciupagi. Tonęły w lesie,

Waż jakoby olbrzymi, luskami migocąc  
i brzmiać; wsuwał się w nieprzejrzany, pra-  
wieczny las.

Idom...

Aż wchłonał ich głęboki mrok drzew.

Z lasu zaś jeszcze biegła juhaska pieśń:

Hej idom se owiecki, idom se barany,  
hej idzie se za niemi juhask porubany!  
Hej porubane rence, porubane plecy,  
hej wtoże ig porubał? Przi dzieweynie w noey!  
Hej dzieweyno kohana, z tysiąca wybrana,  
hej pięknie tobie hodzić we krwi po kolana!  
Hej gineni skroś tobie gazdowscy synowie,  
hej jaze cie pierunem zatrasła bogowie!...

Z coraz dalsza, z coraz dalsza słyhać było  
jęczenie dalekonośnych trombit i zbyrkotanie  
spiżowych turlików i kłapacy.

Powoli wznosił się pochód lasem.

Przepromienne słońce lało się na trawę  
i pachnące młode liście drzew, wycinane  
w rozmaity, śliczny kształt, nabrzmiałe so-  
czystą zielonością i tak wesołe, że „hnet byś  
rzók, ize świergotać zacnom, jako sikory le-  
śne“. Nawet ciemne igły smreków, jodeł i ci-  
sów świetliły się pogodnie.

Wiodła droga jeszcze lasem kęs pod górę,  
a potem na prawo, w perci (na ścieżki)

Tam się owce poczęły wydłużać w nie-  
skończony sznur, bo było wązko, po boku się

ledwie juhask pod smreczki przeciskał, albo  
też w stadzie, pomiędzy owcami z psem szedł.  
Gęstwa była straszna, drzewo nigdy nie cię-  
te, chraścią, smędlakami (krzakami, suchemi  
gałęziami) zarośnione i zatrzepane. Tysiąc  
dwieście owiec wyciągnęło się w biały i czar-  
ny sznur, kozy w nim, a za niemi jedna za  
drugą szły krowy i woły wielkie rogi mię-  
dzy gęstwiną przedzierały. Od turlika pierw-  
szej owcy do kłapaca ostatniego wołu dźwię-  
czał i dzwonił spiż na ogromnej śródleśnej,  
błędnej w zakręty przestrzeni.

Bystrzej i bystrzej pod górę, między sta-  
ry, choć coraz niższy las, gdzie się już wszel-  
kie inne drzewo traciło, a tylko smreki co-  
raz wyłączniej zostawały, koło potoku, co  
z Czarnego Stawu szedł, podbijać się począł  
pochód ku wąwozowi poza Kopą Królową,  
ku Królowej Hali, od Maćka Króla, co tam  
pierwszy pasać zaczął, nazwanej. Aż sięgnięto  
kosodrzewiny i po kilku godzinach cienia le-  
śnego ujrzano słońce i wierchy i ostry gór-  
ski powiew przypłynął.

Naówczas taka radość owładła serce Sob-  
ka Topora z Hrubego, że zabręczał nabijaną  
ciupagą swoją nad głową i wznosił głos:

Hej idom se owiecki tom stawiańskom pyreiom —  
drugi wiersz dziesiątki męskich, kobiecych  
i chłopięcych głosów rzuciły na las:

Hej juhasa niewidać, ino zwonki zbyrcem! —  
i powtórzyły raz drugi, jak zwykle.

Baca dobył pistoletu z za pasa i strzelił. Huknęły za nim i inne rusznice i pistolety, zadęto znów we fujary i kobzy, które już nad lasem były, a kto z lasu z instrumentem wychodził, dąć zaczynał, tak, że muzyka rosła i wznosiła się od momentu do momentu.

Wkraczano w dziedzinę szczęścia.

Wtem: is! is! icie go! — ozwały się krzyki.

Czy zaspał w cieple i zbudziły go dopiero strzały i hałasy, czy telo (tyle) śmiały, a ciekawy był: olbrzymi czarny niedźwiedź z karbu pod Królową patrzył. Stał tak zachylony za ubocz, że mu tylko łeb z karkiem i pierściami i przednie łapy widać było, a cień gruby padał odeń na murawę zieloną.

Przekrzywił łeb, jakgdyby lepiej nastawionymi uszami się przysłuchać i lepiej małemi ślepiami się przypatrzeć chciał, i widniał w górze.

— Hej! Jak to se hań hyrnie\*) stoi! — krzyknął któryś z juhasów!

— Erezie! — krzyknął inny, niby jak na owce, chcąc go zegnać.

— Nie byłbyś ty telo durny, kieby haw Sabalas nami be! — zawołał trzeci.

\*) wspaniale

Już jednak sześć, czy siedm srogich psów z okrutnem ujadaniem pod górę się po upłazie (uboczny trawą porośnięty) puściło. Niedźwiedź nie czekał, tylko zawrócił się i znikł za upłazem.

— He! To obieś! Myślał, co se tu będzie wirhował\*), jako będzie fciał! — ozwał się Michna, wolarz.

— Wójt halom! Sołtys stawiański! — szydził juhasi.

Jeszcze raz się niedźwiedź wyżej pokazał na wysiecysku, (miejsce wodą z trawy odartem), między kosodrzewiną ku Magórze i znikł.

— Ale ze je chytry \*\*) — wołano. — Hipce jak jeleń. Stracił się psie drewno w pustak!...

Psy przywołane wróciły, a pochód cały posuwał się po stokach Magóry po pochyłej darni, aż znowu na péré między kosodrzewiną i ogromnymi głazami, co ku stawiańskiemu owczemu szałasowi i krowim szopom wiodła, wstąpił. Pomiędzy wyrosłą kosodrzewiną owce poczęły ginąć z widoku. Sobek, po przodku idąc, wybujała od jesieni tu i owdzie gałęź zamachem ciupagi odtrącał i wiódł, aż się szałas i szopy ukazały.

\*) broił

\*\*) szybki



Dolina, dolina, na dolinie sałas,  
 cemuz mie dziewcytno do niego nie wołas?...  
 śpiewał juhas, tańcząc w pochodzie „drobne-  
 go“ i wywijając ciupagą nad głową.

Wkroczone w dziedzinę szczęścia.

Poruniło się (zazieleniło z wiosną) pięknie,  
 gdzie okiem spojrzeć, zielono, tylko na tur-  
 niach śniegu płaty olbrzymie, w żlebach,  
 gdzie do cienia, hrubo go jeszcze na chłopa  
 zwysć (na wysokość).

Jasne białe mgiełki kołysały się nad wier-  
 chami.

Zmęczone bydło poczęło się zaraz paść ko-  
 ło szałas i szop.

Wiatry halne, a osobliwie ten wielki, co  
 z końca grudnia (z początku listopada) wiał,  
 porobiły szkody, postrząsały kamienie z da-  
 chów, a śniegi wielkie, co w zimie, w jag-  
 weńcie przed gody (w grudniu przed Bożem  
 Narodzeniem) i potem drugi raz w godniku  
 (styczniu) ku końcu miesiąca spadły, zgniot-  
 ły szopy dwie krówskie do imentu (zupeł-  
 nie). Trzeba było naprawiać, ale to się du-  
 chem przy telik (tylu) chłopach i wszelkim  
 sprzęcie potrzebnym z domu zabranym ro-  
 biło.

Koszary jęto stare naprawiać, nowe sta-  
 wiać, strągi (miejsca do dojenia owiec) w nich  
 grodzić. Ożyła hala.

Zapłonęła watra w szałasie bacowskim;  
 gruby zawatarnik (klat drzewa) z tyłu watry  
 tłał, a smolne drzewo raz po raz dorzucane,  
 trzaskało iskrami i miły, znany, gryzący, gę-  
 sty dym szałasny napelnił wnętrze! Na ja-  
 dwidze (długim kij) uwieszanej u żerdzi po-  
 przecznej, pod dachem szałas z dwu stron  
 przymocowanej, wisiął kocioł a w nim wa-  
 rzyła się kluska z owsianej mąki, bo jeszcze  
 niedojono. Filarowego Józka Bronka od Caj-  
 ki ją gotowała. Na odwiecerz (ku wieczoro-  
 wi), kiedy owce zegnano do koszarów, po-  
 szedł baca do szałas po żarzące węgle, zie-  
 la zbierane na Matkę Boską Zielną i żywicę  
 ze smreków, uzbieraną w lesie w łubek z ko-  
 ry smerkowej wrócił z tem ku owcom, zdjął  
 kapelusz, przeżegnał się i kadząc od zacho-  
 du ku wschodu ku wschodowi trzy razy ob-  
 szedł je w milczeniu, z powagą wielką.

Po trzecim razie wysypał węgle na zie-  
 mię przed strągą, korą przykrył i ukląkł,  
 a za nim poklękali na jedno kolano juhasi,  
 w oknach (otworach zagrodowych) stojący  
 i odmówili pacierze do Opatrzności, aby się  
 owce dobrze pasły i doily i aby im rzucone  
 przez złych ludzi uroki, porobiska, nie szko-  
 dziły, osobliwie przeciw zwartogłowianiu, sko-  
 lizerzeniu (chorobie skurlata, czyli wymienia)  
 i tracelinie (gubieniu się w górach).

Gdy się pomodlili, powstał baca i krzyknął na gońców: Goń! Ci zegnali owce ku oknom, a juhasi wzięli się do dojenia i wypuszczali po jednej ze strągi. Gdy podojono, gońcy zawołali: Dość! Nieg będzie pokwalony Jezus Hrystus! Juhasi przeżegnali się i chuchnąwszy w ręce ruszyli ku szałasowi za Sobkiem bacą. Ten uchylił skrzypiących drzwi i przestąpiwszy próg pozdrowił pustkę: „Nie będzie pokwalony Jezus Hrystus!”

Potem nad naczyniem, w którym się mleko na żentycę przygotowywało, Sobek, zakawsawszy szerokie rękawy koszuli, rozciągnął czystą, cieniutką, lnianą satę, (szmatę), położył na środku jej mały, gruby woskowy krzyżek święcony i drobnej cetyny, gałązek smrekowych, aby mleko szło z gielek bez brudu i poświęcone.

Gdy zaś i krowy wydojone do szóp zaparto, woły konie i capy polegały na trawie, psy koło nich: zeszli się pasterze do baczowskiego szałas.

Było tam towarzystwo przebrane, chłop znał do chłopca sposób, (wiedział, co drugi chłop wart), a i dziewczki były nie płone, bo każda obuchem wilka ubić mogła.

Tam oni koło watry siedzieli w dymie dusznym, wędząc w nim gibkie, mocne ciała i pasterskie odzienie.

Na hali zbyrkotały dzwonki, to tu, to tam, to owcze, to wole, to z królewskich szóp, ale nie często, bo stace (bydle) było zmęczone drogą, więc spoczywało spokojnie.

Pies czasem zaszczekał. Było cicho.

Gwarzyli — musieli się na nowo w halę wżyć.

Opowiadał Wojtek Gdowin, co mu matka mówiła, jako mądry na mądrego trafił. Jechali furmani drogą i strasznie się im chciało pić, bo było prawie właśnie gorzkie, gorące, południe, a juhaski owce pasły na upłazie.

Pyta się furman furmana: piłybyś?

— Jybyś pił, kiedyś miał co!

Furman zatrzymał konie, podstawił putnię pod dyszel, sjon (zdjął) huzdę z konia, zawiesił na dyszlu i wzion doić mleko z dyszla z tej huzdy.

Do razu owce stanęły (stanęły) na upłazku i zbęcały. He! Skocęł juhaski! Zrucił cuhe ze siebie, prasnon na ziom, kie zacnie bić po niej toporzyske!

Ustał ten doić, co doił z uzdy, ba (ale) coz, kie trza było do juhaska jeszcze w pytanie (w prośby), żeby ustał bić, bo się widziało, iż kości w grzibiecie furmanowi wypukajom. Tak wej mądry na mądrego trefił. Wiedział furman owcom porobić, (czarować),

coz, kie i i ten juhas wybity (doświadczony) chłop był; znał się bronić...

Potem, kiedy gwiazdy na niebo wyszły, nocny wietrzyk w kosodzewinie i w poniższej smreczynie zaszeleścił; poszły pasterki ku krowom na szopy, na strych, spać, a juhasi, baraniarze, wolarze ku koszarom i stadu. Pozapalowali watry godne, od wilka, niedźwiedzia i rysia, wolarze w trombity zadęli raz, drugi, trzeci na odstraszenie i gwieździsta cisza od czasu do czasu przedźwiewła dzwonkiem spżowym, ogarnęła stawiańską halę.

Nazajutrz baca kierdele podzielił: owce, dojki i kozy z najlepszymi juhasami osobno, na najlepsze pastwiska, na Halę Królową, ku Magórze, pod Liliowe, za Zielone, ku Mechom; jarki, jagnięta, barany, capy osobno w Kościelec, w Żółtą Turnię; krowy poszły nad stawki pod Pośrednią i Skzajnią, woły w kosodrzewinę i w las nad potokiem. Konie spętano przy szalasio, aby się nie porozchodziły daleko i wilkom łupem nie stały.

Sam baca warzył żentyce, koło oszczypków (sera) się krzątał.

Zaczęło się doroczne życie pasterskie.

Na trzeci dzień po przybyciu na szalasio, przyszedli gazdowie, właściciele owiec, z dołu do miru (miary). Poszli z juhasami owce paść, a na południe, wróciwszy, sami w strą-

gach owce do swoich naczyń doili. Po wydojeniu każdy do naczynia cienki patyk wetkał i dokąd mleko sięgało, zakarbował, a podług tej miary drugi patyk naznaczył i taki zamirek bacy oddał. Podług obliczenia z tą miarą ser miał baca na końcu lata gaździe odważyć. Niektórzy zaraz popołudniu, niektórzy przenocowali i nazajutrz rano odeszli.

Już teraz przez trzy miesiące blisko nikt się na hali nie spodziewał gości.

## Z RUGII.

---

Hässlich, abscheulich, eckelhaft: wszystko to jest za mało, żeby określić brzydotę pruskich kobiet, jak wszystko jest za mało, aby określić antypatyczne wrażenie, jakie sprawiają Prusacy. Natura nie chciała, aby ktokolwiek wątpił, z kim ma do czynienia.

Sztywna, kwadratowa konstrukcja Berlina ze śmieszną, ordynarną Siegesallee, o której posagach bardzo dowcipnie ktoś powiedział: was stellen sie eigentlich vor? die einen den linken Fuss, die anderen den rechten; ze swoimi wywatowanymi oficerami, parademarszem i ponurą, brutalną powagą: jest doskonałym obrazem Prus. Jest to najobrzydliwsze miasto, jakie znam, i ile razy tam jestem, to samo odnoszę wrażenie, a jednak, kiedy się zobaczy, że niedaleko Hamburga leży *Grabów*, że Rügen to jest odwieczna słowiańska Rugia: że sam Berlin leży na gruncie słowiańskim,

ogarnia lęk i groza wobec tej siły, która rzeczywiście szła olbrzymią Siegesallee od morza Śródziemnego aż po Bałtyk, aby teraz Unter den Linden mogła wykonywać spokojnie swój Parademarsch.

Jeżeli się rozejrzeć na mapie, ile Niemcy zalali, ile ziemi bezpowrotnie w ich rękach utonęło, jak słabo, bez oporu ustępowali im Słowianie, jak dali się pochłonać, strawić, znihilować w organizmie niemieckim: lęk i groza ogarnia. Niemcy zaś mają żelazną wytrwałość, i ich Parademarsch ma w sobie coś z maszyny, która nie czuje oporu i raz puszczona w ruch, wykonywa swoją pracę bez odpoczynku, bez przerwy, pokonywując opór prawem siły żelaznych kół i potężnych rzemieni rozpedowego koła.

Przedewszystkiem Prusacy muszą schłonać i stopić w sobie pomniejszych ustroje niemieckie. Z Saksonią, Badeńskiem, zdaje się wiele ambarasu nie będzie: odporna dotąd Bawaryja chyli się coraz ku upadkowi.

W Austryi Salzburg, Styrya, po części już i Tyrol widzi swoje zbawienie w pikelhaubie pruskiej. Zbici i zjednoczeni w sobie Niemcy, wszystkie plemiona, mówiące germańskim językiem, staną się siłą straszną, gdy nie zjednoczeni i nie sklejeni w jedną całość pokonali tak straszliwie Francję.

Niema też dosyć wysokiej strażnicy, z którejby czuwali Słowianie, niema dosyć mocnych wałów, któremiby się zagradzali od niemieckiej fali.

Z dawna ze względów poetyckich ciągnęła mię Rugia. Ciągnęła mię z dwóch względów: raz, że sobie wyobrażałem nadzwyczajnie piękną stronę świata, powtóre, że myślałem, iż znajdę tam jakieś prastare pomniki Słowian, którzy ją niegdyś w swych rękach mieli. Niemcy, których tam spotkałem, obrzydzili mi tak tę wyspę, iż widziałem jej tylko jeden kąć, Sassnitz i Stubenkammer. Jako piękność położenia: nic szczególnego; z pamiętek widziałem jezioro Herty, niegdyś uroczysko słowiańskie, jezioro w bukowym lesie wśród pagórków, cokolwiek przypominające Staw Smreczyński w Kościeliskiej dolinie, tylko bez gór świecących ponad lasem. Zato nieopodal ma urwisko nadmorskie, 130 metrów ściętych kredowych skał, leżących w morze przeraźliwie prostopadle. Jeżeli sobie wyobrazić jakichś kapłanów pradawnych, jakichś druidów prastarych z brodami do pasa i harfami w ręku, jakichś druidów z „Lilli Wenedy“, schodzących się nad to jezioro, jak duchy, w księżycową noc z pośród odwiecznych, olbrzymich, nigdy nie ściętych buków, aby odprawić ofiarę, tajemniczo kłać i niepojęte

dzisiaj dla nas śpiewać modlitwy; jeżeli się wyobrazi sobie gdzieś tam po lasach zaskoczony brzęczeniem harf i śpiewem starców jelenie, jak podnoszą rogate łby w górę i przystanąwszy słuchają, podobne do zadziwionych bogów leśnych; jeżeli się sobie wyobrazi pradawną słowiańszczyznę i pradawny czas, to to jezioro Hertę nabiera ogromnej poezji, staje się czemś świętym, umiłowaniem—i czemś straconym. Tak, tak, to była „wielka rzecz“... Dzisiaj polują tam na jelenie furerzy i grafy niemieckie, żandarm pruski pilnuje porządku, Polacy, których spotkałem w Sassnitz, mówili między sobą po cichu po polsku, głośno po niemiecku. Ba! Przecie w tramwaju rzymskim przypominam sobie panienkę podziwiająca, że hrabia Józef Potocki zapisał się jako Polak w hotelu i że „taki wielki pan, a nie wstydził się być Polakiem“, to znaczy, że ona by się wstydziła, gdyby była takim wielkim panem.

Pokażcie mi gdziekolwiek indziej na świecie taką szlachciankę!

Rugia, jak cała pomorska prasłowiańska okolica, jest stracona. Jeszcze są podobno jakieś niedobitki Słowian w innej stronie wyspy, koło Putbus, ale już dałem za wygraną z odszukaniem ich.

W ciemne burzliwe noce musi morzem podpływać pod tę wyspę przedwieczny, dawny słowiański bóg, musi wyć z żalu, bólu i rozpaczony i wstrząsać brzegi tej wyspy, gdzie mu niegdyś ofiarowywano na dymnych ołtarzach, gdzie miał swój święty chram i swoje święte łanie. Wygnany w morze, utopiony w niemieckim Bałtyku, musi się w ciemne burzliwe noce dźwigać gdzieś z dna, podpływać pod wyspę i wstrząsać nią i wyć, aż zagłuszy go z koszar strasuldzkich dobiegające: „Heil dir im Siegeskranz“...

Tak samo słowiański Tatrów duch rozpiął swoje olbrzymie skrzydła ze zgrozą i jak orzeł, któremu się do gniazda skradają, wisi z błyskawicami w oczach nad Zatatrzem słowackim. Wszakże to Węgrzy wydali wyrok zagłady na język słowacki, drą się ku Tatom, madziaryzują lud, zabierają słowiańszczyźnie jej jądro, kradną jej ziemię i lud, jak temu ludowi odkradli strój i pieśń.

Ach! ta słowacka pieśń!... Ciężką to musiała, ciężką i długą być niewola, która wytworzyła pieśń taką smutną i taką żalną. Nie znam piękniejszych melodyi ludowych, jak słowackie. Kiedy kobiety słowackie zaczęły nucić, wydaje się, że je nauczyła śpiewać nędza, strach, tęsknota do pozaprzepaszcanych w austriackich koszarach i węgierskich

zamek synów, braci, kochanków i mężów. I także tęsknota do tych czasów, kiedy ich Krivan patrzył na ich wolność.

Dziś Tatry z jednej strony najechane przez pruskiego magnata, który za swoje bogactwa uczynił sobie z ćwierci tych gór zwierzyniec, z drugiej patrzące na usiłowanie zmadziaryzowania ludu, który się u ich stóp wykołyśał: są po prostu tragiczne.

---

WIECZÓR FLORENCKI.

Poproszono mię o napisanie w zastępstwie pana Maryana Gawalewicza, który wyjechał do Rzymu, listu z Krakowskiego Przedmieścia. Naprzód nie mieszkam na Krakowskim Przedmieściu a następnie, o ile znam owe tygodniowe listy, Pp. Gawalewicz i Rabski poruszają w nich przedewszystkiem, jeżeli nawet nie wyłącznie, sprawy warszawskie. Dotrzymać im na tem polu byłoby mi trudno. Ale byłem kiedyś w słynnym we Florencyi salonie pani de Sirene i przyszło mi na myśl, czyby, zamiat listu z Krakowskiego Przedmieścia, nie opisać wieczoru florenckiego, cokolwiek na wzór owych sławnych „Wieczorów florenckich“ Klaczki.

Pani de Sirene gromadzi u siebie całą Florencję. Bywa tam każdy, kto się szanuje na miejscu i każdy z przejezdnych, który pragnie być szanowanym. Co do mnie, wprowadzony tam zostałem przez dwóch moich znajo-



mych; Teżła, chłopskiego prawie samouka, a dziś szeroko głośnego rzeźbiarza, i hr. Morskiego, muzyka. Salony przepyszne. Powiadają, że we Florencyi w pokojach sypialnych bywają czasem pluskwy, ale za to salony przepyszne. Pani de Sirenne jest osobą bogatą, ma około stu tysięcy franków rocznego dochodu, ponieważ jednak jej przyjaciółka, pani Goldblum, która ma trzykroć dochodu, wydaje sześćdziesiąt tysięcy, a dwieście czterdzieści co roku odkłada, więc pani de Sirenne wydaje całe sto tysięcy i co roku nic nie odkłada. Wydaje za to czasem dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy z kapitału.

Pani de Sirenne odznacza się nadzwyczajnym taktem, dobrem wychowaniem, jest osobą bardzo uprzejmą i zaznajamia sama swoich gości. Sam widziałem, jak panu Obywatelli z pod Parmy, który przyszedł do salonu w pół godziny po Teżlu, przedstawiła Teżła, a hrabiemu del Imposanti da Idi-O'Tom, który przyszedł do salonu w pół godziny po panu Obywatellim, przedstawiła pana Obywatelli. Teżel mruknął przytem po włosku „clempa“, co, za mało znając język włoski, nie wiem, co znaczy, zepewne wyraz uznania, a pan Obywatelli był uszczęśliwiony. Tylko uważałem, że hrabia del Imposanti da Idi-O'Tom, który, o ile mi wiadomo, nie wy-

chowował się w naszej Warszawie, wydał mi się zdziwiony.

W chwilę później usłyszałem następujące zdanie

— Ach! Muszę panu powinszować, panie Belcanto! Sam markiz Buonoalletzzi di Nievinazzo był na pańskim koncercie! — mówił do słynnego tenora Belcanto pan Izaak Feinparfum z niesłychanem przejęciem.

— Czy to jest jaki wielki muzyk ten markiz? — spytałem naiwnie Morskiego.

— Nie, to jest tylko bardzo wielki pan. Belcanto spojrział na Morskiego, Morski na Belcanta i obaj parsknęli śmiechem. Pan Izaak Feinparfum zaczerwienił się — mówią że łatwe czerwienienie się jest cechą natur inteligentnych — i okrągłym ruchem posunął się ku bogatej pani Varsovini, która właśnie siadała na fotelu z wielkim wdziękiem i tak elastycznie, jakby siadała na gutaperce.

Troszkę obcy w tem towarzystwie rad byłem, żem znalazł wolne miejsce w rogu pod kwiatami. Prowadzono tam jakąś żywą dyskusję.

— Ależ jakże! — mówiła pani Lublini, żona chirurga z Bolonii. — Opowiadała mi to sama mecenasowa di Radomio! Paletini namalował w skandaliczny sposób pannę We-

rę Daturę. Zemścił się na niej, że mu odmówiła kotyliona w resursie kupieckiej.

Obok siedzieli młodzi ludzie, jak się później dowiedziałem, stryjeczni bracia Possaggioni.

— Skandal! — wykrzyknął jeden.

— Bezeceństwo! — zawołał drugi.

Dowiedziałem się, że kwestya dotyczyła obrazu, przedstawiającego nagą kobietę.

Ale przecie nie można poznać, bo twarzy nie widać — ktoś się odezwał.

— A włosy?

— Panna Wera ma ciemne, a tam są jasne.

— A wzrost?

— Panna Wera jest niska, a kobieta namalowana jest wysoka.

— A talia?!

— Panna Wera jest szczupłą, a kobieta namalowana jest tęgą.

— A...?!

— A, tego to już niewiem.

— A ja wam powiadam, że wiem doskonale, że to Wera Datura i że ją namalował przez zemstę — mówiła pani Lublinie z Bolonii.

— Za to, że mu odmówiła kotyliona w resursie kupieckiej?

— Tak.

— Ale kiedyż on tam nie był!

— Jakto nie był?

— Bal w resursie kupieckiej był dnia 17-go lutego, a Paletini był wtenczas ze mną na wsi, w Lombardyi. On nawet, co więcej, wcale nie zna panny Wery Datury.

— Skądże pan wie?

— Bo kiedy mieliśmy być na wieczorze u państwa Coutuni di Cracovia i wymieniałem mu, kto tam będzie, spytał się, usłyszawszy nazwisko panny Datury: któż to taki?

— Kiedyż to było?

— Siódmego marca.

— Zatem byłoby?

— Nawet po wystawieniu obrazu.

— No, co pan mówi, to pan mówi, a ja wiem dokładnie, że Paletini namalował pannę Daturę nago przez zemstę, że mu odmówiła kotyliona w resursie kupieckiej.

— Skandal! — wykrzyknął jeden z młodych ludzi.

— Bezeceństwo! — zawołał drugi.

Obecny krytyk, Bonifazio Cretynio, obiecał pani Lublinie, że „on już tak podetnie nogi Paletiniemu, że się więcej nie podniesie“.

— Daję pani słowo i dziękuję za te wiadomości — mówił.

— Skandal! Bezeceństwo! — powtarzali dwaj młodzi ludzie.

— Któż są ci panowie, którzy się tak oburzają głośno? — spytałem sąsiada.

— Ej to nic, jeden ciągle jeździ na gumach. Nawet śmieją się, że to jest amator gutaperki—tu spojrzął w stronę bogatej, elastycznie siedzącej pani Varsovini—i nie wiem zresztą, z czego żyje, bo nic niema i nie nie robi. A drugi coś tam, jakieś głupstwo! Napisał jakiś anonim, że ktoś, co się miał żenić z jakąś krociovą panną, cierpi na epilepsyę, czy coś takiego. Pokazało się wprawdzie, że nie cierpi na epilepsyę, ale niemniej małżeństwo się zerwało. Panna z rozpaczy poszła do klasztoru, a narzeczony gdzieś przepadł bez wieści. Jakieś głupstwo, ot, bagatela! Po co się tam ktoś miał bogato żenić!

Rozmowa w salonie florenckim interesowała mię. Przesunąłem się więc ku innej grupie.

Doktor Salatin, Francuz, rozmawiał z kilku panami. Była rozmowa o znakomitości lekarskiej we Florencyi, doktorze Burckhardzie.

— Co za dyagnosta! — wykrzykiwała jedna z pań. — Jak puka!

Cóż, kiedy głuchnie — bąknął dr. Salatin niskim basem.

— Głuchnie?... Nie słyszałam...

Dr. Salatin otworzył album i zatopił się w nim głęboko; były to widok Kairu.

Pani zaś, która krzyczała, w chwilę po-

tem zwróciła się do sąsiadki: Hm, proszę cię, słyszałaś, co mówi doktor Salatin? Burckhard głuchnie!

— Czy to być może?!—zawołała druga pani.

Wkrótce rozeszła się, jak się później dowiedziałem, szeroko wieść, że Burckhard głuchnie i że całe jego obecne pukanie to błaga. Zresztą przecież dawno już zauważono, że mieszał się przy dyagnozie. Tak, niewątpliwie, kiedyś był wyborynym dyagnostą. Jeszcze tak przed trzema, czterema laty... Choć...

— Biedny człowiek! — westchnęła jedna pani.

— Nieszczęśliwe stworzenie! — dodała druga.

Doktor Salatin otrzymał wkrótce do leczenia cały pensyonat żeński panny Tuman.

— Taki ucziwy człowiek! Nie krył w tajemnicy, że ten biedny Burckhard głuchnie. Godzi się go popierać...

Doktor Salatin zaś myślał, jak wiele prawdy jest w tej maksynie: Jeżeli powiesz wieczorem, że ktoś zamordował swoją matkę, bądź pewien, że choć się rano pokaże, że to nieprawda, zawsze coś na tem zostanie.

W innym rogu salonu toczyła się ożywiona dyskusya z powodu świeżo wyszłego romansu.

— Porządnej panience tego na stół położyć nie można! — krzyczała jedna pani.

— Czy literatura jest od tego, żeby odkrywała nasze ciemne strony?! — krzyczała druga pani.

— Żadnego uszanowania dla tradycji! — krzyczał jeden starszy pan.

— Nic świętego! — krzyczał drugi starszy pan.

— Przecie każdemu wolno pisać, jak mu się podoba, byle pisał dobrze i ze swego szczerzego przekonania — zauważył ktoś nieśmiało.

— Może, ale nie u nas, chwała Bogu! — obrazila się jedna pani.

— U nas jeszcze, dzięki Bogu, do tego nie doszło! — obrazila się druga pani.

— Pan napisze o tej książce, panie Bonifazio? — zwróciła się pierwsza pani do pana Bonifazia Cretynio.

— Ho, ho! Już ja mu dam!

— Ale bo co to, panie, żeby na stół porządnej panience nie można było położyć! — mówił jeden ze starszych panów.

Przeszliśmy z Morskim nieco dalej.

— Dobrze się pani bawiła na ostatnim raucie w ratuszu? — spytał Morski jakiejś przystojnej panny, jak się dowiedziałem później, siostry pana Obyvatelli z pod Parmy.

— O, doskonale! Był Staś Colonna, Jaś Orsini, Zygmus Ruspolli, któż więcej? Przyjechał także Piś Montmorency, z Paryża. Był w doskonałym humorze.

— To dziwne — rzekł do mnie Morski — bo jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ci księżęta mówili kiedy o tej pani: Mizia Obyvatelli — tylko zawsze mówią albo poprostu: Obyvatelli, albo panna Obyvatelli, albo ta Obyvatelli

— Cóż to za dama o takim arystokratycznym profilu, co się tak wachluje wachlarzem z wygrawowaną mitrą? — spytałem Morskiego.

— To księżna Wiktorya della Grazia z Wenecyi. Uchodzi tu w towarzystwie za ogromnie inteligentną osobę. Podejźmy, to posłuchamy, o czem mówi.

— Nie znoszę indywidualności. Indywidualność mię męczy. Cywilizowane narody nie mają indywidualności. Indywidualności są plagą społeczeństw — mówiła księżna Wiktorya do swojej sąsiadki.

— Księżna pozwoli: pan Paletini — przedstawił jej ktoś malarza Paletiniego.

— A! bardzo mi miło, słyszałam — rzekła księżna Wiktorya, podnosząc się uprzejmie z miejsca i podając rękę. — Pan dużo teraz maluje?

— Nie, teraz nie dużo.

— Tak, tak. Szkoda. Pan się kształcił w Monachium?

— Tak.

— A, a. Mówią, że to niemieckie Ateny. Pan nie znajduje?

— Owszem, proszę pani.

— Tak, tak. Pan będzie dużo teraz malował?

— Zobaczę, jeszcze nie wiem. Jak mi przyjdzie ochota.

— A, a. U panów wszystko zależy od fantazy — nieprawdaż?

— Jak zawsze u artystów.

— Tak, tak. Pan dużo podróżował?

— Dosyć dużo.

— Pan woli szkołę włoską, czy flamandzką?

— Włoską, proszę pani.

— Pan muzykalny?

— Owszem, bardzo lubię muzykę, ale się mało na tem znam.

— A, a.

— Księżna pozwoli: pan de Plume, literat.

— A! bardzo mi miło, słyszałam — rzekła księżna Wiktorya, podnosząc się uprzejmie z miejsca i podając rękę. — Pan dużo teraz pisze?

— Drukuję teraz powieść w *Corriere di Napoli*.

— A, a, prawda, czytałam. Pan dużo podróżował?

— Nigdzie nie byłem, proszę pani.

— Tak, tak. Pan powinien dużo podróżować. Podróże kształcą.

— Jak tylko będę mógł, to wyjadę.

A, a. Pan powinien jechać do Paryża. To stolica świata.

— Tam się też wybieram, jak tylko będę mógł.

— Tak, tak, trzeba, koniecznie trzeba. Pan przekłada literaturę angielską czy francuską?

— Włoską, proszę pani.

— A, a, bardzo ładnie, bardzo ładnie. Pan muzykalny?

W tej chwili nachylił się ku niej Morski i z niesłychanym wdziękiem zapytał: — Księżna przekłada pierogi ze śmietaną, czy pierogi z serem?

Księżna odwróciła się do swojej sąsiadki;

— Ach, muszę pani powiedzieć, madame Bourgeoise, co mi nasz najdroższy O. Lojolini pisze z Paryża. Oto wynaleziono tam sposób ważenia za pomocą magnetyzmu treści duchowej człowieka. Moja kuzynka Dora di Miauco-Guova ma sześćdziesiąt procent uduchowienia na czterdzieści procent instynktów cielesnych. O. Lojolini zaręcza jej, że przy usiłowaniu dojść może do sześćdziesięciu

ośmiu, a nawet do siedmdziesięciu pięciu procent uduchowienia. Bo wszystko robi wiara.

— Ach! Zachwycające! Muszę się dać zważyć przy pierwszej bytności w Paryżu — wykrzyknęła pani Bourgeoise.

— Niech pani rejentowa nie myśli, że to jest taka waga, jakiej używają do ważenia cieleciny — rzekła księżna przez zęby, przy-mrużając oczy.—To jest waga magnetyczna, duchowa.

— Zachwycające! Naturalnie, że nie myślałam inaczej!

— Tak, tak. Dam pani polecający list do O. Lojoliniego.

— Dziękuję.

— Księżna pozwoli: pan Pianino, muzyk.

— Ależ wiem, słyszałam. Bardzo mi miło —rzekła księżna Wiktorya, podnosząc się uprzejmie i podając rękę! — Pan się kształcił w Lipsku, czy w Paryżu?

— W Paryżu, księżno.

— Pan przekłada Paryż nad Lipsk?

— O, zdaje mi się, że teraz Paryż stoi daleko wyżej.

— Tak, tak. Pan dużo podróżował?

— Znam całą Europę i kawałek Afryki.

— A, a. Podróże kształcą. Artyści powin-

ni wiele podróżować. Pan przekłada muzykę włoską czy niemiecką?

— Niemiecką.

— Pan lubi poezję?

Nie mogłem dalej słuchać, albowiem w tej chwili zbliżył się ku mnie Morski z moim znajomym, panem Wilhelmem Kufke.

— Cóż to żonie pańskiej, że taka blada? — spytał Morski pana Kufkego.

— E nie, jakieś małe żołądkowe *qui pro quo*, nic więcej.

Morski otwarł szeroko oczy, zdziwił się, a potem rzekł poważnie:

— Taka mała żołądkowa absolucya? Co?

— To to to, to właśnie. Mała absolucya. Poprostu ten makaron na oliwie.

— A cóż Włochy? Cudny kraj, nie prawdaż?

— O, panie hrabio! Tu dopiero można zrozumieć, że tylko w takiej ziemi cytryn i pomarańcz mógł powstać Dante i Michał Anioł.

Morski znowu otwarł szeroko oczy i znów się zdziwił, a pan Kufke mówił dalej:

— Obecnie pójdziemy na Korsykę. Pojedzie z nami także pan Henryk.

— Także takie małe *qui pro quo* — co?

Pan Kufke spojrział nierozumiejącemi oczyma na Morskiego.

— Aha — mruknął niepewnie.

— *Hannibal ante portas?*

Pan Kufke zawahał się nieco i stał zaambarasowany przed Morskim; ale zauważyłem, że uwagę Morskiego, zarówno jak moją, zwróciła w tej chwili na siebie piękna pani Irena Kufkowa. Wykonywała ona wachlarzem dziwne ruchy. Dotknęła nim naprzód prawego policzka, potem przesunęła go po ustach, potem dotknęła nim lewego policzka, uderzając lekko z rzędu trzy razy. Spostrzegłem, iż stojący *vis à vis* we drzwiach pan Henryk nieznacznie się uśmiechnął i zmrużył oko.

— Czyby się pan hrabia nie dał z nami namówić jutro do Fiesole?—odezwał się pan Kufke.—Jedzie samo męzkie towarzystwo, bo żona w domu zostaje. Jedziemy jutro o trzeciej, ja i dwaj znajomi z kraju.

— Pan Henryk jedzie także?

— Nie, zdaje się, że nie.

W tej chwili przedstawiono mnie jakiejś polskiej rodzinie: pani, pan, córka, bardzo ładna dziewczyna, której wyłaziło z oczu „lubię, kiedy mężczyzna“...

— Pan X., pan Kukiello.

Pan literat, a co?—zaśpiewał pan Kukiello  
— Literat.

— Pan się tak specjalnie zajmuje literaturą, czy u pana jest fundusz?

— Specjalnie.

Pan Kukiello zwrócił się ku córce i rzekł:

— Cezyu serce, przejdziem.

— Jabym została, papuszk.

— Przejdziem, Cezyu serce — zaśpiewała pani Kukiellowa.

— Państwo pozwolą, pan Teżel — przedstawił Morski.

— Rzezbjarz, a, co?

— Tak jest, proszę pana.

— Pan się tak specjalnie zajmuje rzezbą, czy u pana jest fortuna?

— Jest, ale z gliny na sztalugach.

— A, co? Cezyu duszko, przejdziem.

— Ach, papuszk! Ja także rznę w marmurze—zostańmy.

— Przejdziem, Cezyu serce — zaśpiewała pani Kukiellowa.

Wtem pannie Cezi zsunęła się z ramion okrywka. Wyciągnąłem ręce, aby poprawić, gdy nagle błysnęły mi przed oczyma dwa czerwone łokcie pani Kukiellowej i dwie pięści obute w rękawiczki wydarły mi z rąk okrycie ramion panny Cezi. Ach, Boże, Boże! Niedarmo jest się autorem „Europy z wolem“ i kilku innych drobiaźdźków...

— Czemu to panie nie były wczoraj na odczycie Pragi?—spytała w przelocie pani de Sirene pani Bourgeoise.

— A bo służąca nie zrozumiała i zrobiła Kizi kąpiel na szóstą, nie na ósmą, jak ka-

załam. Szkoda już było marnować wody. Kizia się już coś miesiąc nie kąpała.

Tymczasem pan Obyvatelli mówił do panny Kizi Bourgeoise:

— Pani ma dziś prześliczne kwiaty, zupełnie jak robione.

— O, prawdziwe także bywają bardzo ładne.

— Niewątpliwie, ale sztuka i kultura...

— Ach tak, kultura i sztuka...

— Pani przekłada sztukę, czy naturę?

— Sztukę w naturze, a naturę w sztuce.

— Ach tak, ja to samo.

— Jakie kwiaty pan najlepiej lubi?

— A pani?

— Tuberozy.

— Ja także.

— Tuberoza ma w sobie najwięcej dystynkcyi.

— Czarująco rozmawia — rzekła panna Bourgeoise do swojej przyjaciółki.

— Co to za inteligentna dziewczyna! — rzekł pan Obyvatelli do swego przyjaciela.

W tej chwili opięta, wypięta, kołysząca się, falująca panna Pretensya Affectani przesunęła mi się przed oczyma, mówiąc przed siebie po francuzku, za siebie po angielsku, w żadną zaś stronę po włosku. Usiłowałem sobie wyobrazić, że to jest osoba niesłycha-

nie wykwintnych form, doskonałego rodzaju i wyborowego towarzystwa.

— Jestem demokratką i nie wstydę się tego! — doleciał mię z innej strony ostry dyszkant panny Dezyderyi Cvass, buchalterki z prywatnego domu handlowego. Panna Cvass miała lat około czterdziestu pięciu, fioletową suknię i ogromną pogardę dla szczoteczki do zębów, oraz „Rodziny Połanieckich“, (którą czytała w tłumaczeniu). Otaczała ją powszechna adoracya ludzi, którzy tak kochali ludzkość, iż nienawidzili prawie każdego pojedynczego człowieka za to, że na równi z nimi nie kochał ludzkości.

— Książka, która nie jest ewangelią jutra, nie jest warta, aby ją czytać! — zgrzytała dalej panna Dezyderya. — Nie prawdaż, mistrzu.

Mistrz, który również żywił ogromną pogardę dla „Rodziny Połanieckich“, „Ogniem i mieczem“ i wogóle dla wszystkich szczoteczek, nie odpowiedział nic, ale naprzód obgryzł jeden paznokciec, a potem drugi.

— Chodź-no pan, przedstawię pana bardzo ładnej pannie — rzekł do mnie Morski.

Panna była w trakcie mówienia; ledwo skinęła mi oczyma i podała końce palców, i mówiła dalej:

— Któż, jeśli nie kobiety? Czy nie dla ko-



bięć się pracuje, myśli, żyje? Czemże jest mężczyzna, jeżeli nie dodatkiem do kobiety?

Dwóch studentów uniwersytetu florenckiego uśmiechało się słodko, pożerając oczami pulchne kształty panny; trzeci stał zamyślony.

— Czy nie zgadza się pan, panie Stefanie?

-- Ach, owszem! Choćby dlatego, że pani tak mówi.

— A pan, panie Karolu?

— I ja, tak samo!

— A pan, panie Edwardzie?

— Ja przecież zawsze mówię — odpowiedział zamyślony student — że to jest dowodem że ktoś jest postępowiec, jeżeli uznaje wyższość kobiety moralną i fizyczną.

— Wiersze pana, panie Karolu, dosyć mi się podobały — mówiła panna.

— Jakże jestem szczęśliwy!

— Proszę pana, panie Stefanie, żeby pan jutro był na odczycie.

— Ależ naturalnie! Prośba pani to najświętszy rozkaz.

— Proszę mi przynieść „*Les demi-vierges*“, panie Edwardzie.

— Dobrze.

— Panie Karolu, czy wypracowałeś pan już statut „panienkokracji florenckiej“?

— Już.

— Czy nie zapomniałeś pan napisać go-

ła: Najwyższą istotą na ziemi jest panna florencka?

— Nie. Napisałem to czerwonym atramentem.

Panna raczyła się lekko uśmiechnąć; studentowi wyszły oczy na wierzch z uciechy.

— Panowie jesteście członkami owej słynnej „florenckiej panienkokracji?“ — spytał Teżel.

Studenci spojrzeli na Teżła wyzywająco.

— A ja myślę — mówił Teżel — że jeżeli co Florencę ogłupia, to właśnie to.

Studenci pokraśniali z oburzenia, panna spojrzała na Teżła piorunami, a zamyślony student uśmiechnął się z najwyższą „pogardą dla idyoty“.

— Zastanówcie się, panowie, że gdy setki waszych kolegów pracują, czują, myślą: wam i wam podobnym świat się koncentruje w fartuszkach panny Amelii, w pończoszkach panny Frani, w uśmiechu panny Geni, albo w podółku panny Loli. Przecie macie fartuszkami zakryty mózg i serce. Nie przeczę i sam wiem dobrze, jaką potęgą jest kobieta, ale to wszechwładztwo pierwszej lepszej gęsi, jakie się spotyka we Florencji, to, że ona sądzi świat, krytykuje ludzi i rzeczy, którym swoją miłą główką do kolan i do podstaw nie sięga, to jest niebывале na świecie i to jest spe-

cialnie florencki wyrób. Jesteście panowie safanduly i fartuszkarze, a skutek tego jest ten, że pierwsza lepsza pensyonarka, albo niewiele co więcej, raczy uznawać, albo nie uznawać coś takiego, co do czego powinna być kontenta, że się o to obetrzeć może. Nigdzie na świecie pierwsza z brzegu gęś nie pozwoli sobie na takie zachowanie się wobec ludzi i rzeczy poważnych, jak tutaj — dzięki wam.

Myslałem, że będzie awantura, gdy na szczęście zbliżyła się ku nam hrabina Dobroczeni di Coudza-Portemonneta z drugą młodszą panią Bourgeoise w żałobie.

— Państwo może zechcą co ofiarować na nasz przytułek ubogich kalek — rzekła hrabina. — Fasola ogromnie podróżowała, a i bób poszedł w cenie. Biedacy poumierają z głodu.

Pani Bourgeoise wyciągnęła rękę z tacką.

Nagle za sobą usłyszałem głos pani di Radomio:

— Wiecie, ta Bourgeoise, ona jest w żałobie po mężu. On był burmistrzem w Anconie. Kiedy wydał ostatnie technienie, pani Bourgeoise przewróciła się w tył na ręce swego najstarszego syna i krzyknęła ztamtąd do lokaja: Wincenty, biegnij do magistratu, żeby zaraz wywiesili czarną chorągiew!...

Miałem jeszcze inny raut i musiałem wyjść, nie przyjrawszy się ani czwartej

części towarzystwa w salonie pani de Si-renne.

Noc była cicha i pełna gwiazd na niebie a luczioli w powietrzu i różanych krzakach. Od rzeki Arno szedł szum. Słodko było iść między ogrody willi florenckich.

Na niebie w całej pełni blasku stał Orion, lira gwieździsta. Wielki wóz, z wytkniętym w nieskończoność dyszlem, zdawał się śnić w swoim wiecznym, nieustannym ruchu. Na całą Florencję zeszedł dziwny, ogromny czar nocy wiosennej. Z okna dolatywał mię śpiew:

W twego ciała precudownej czarze  
Życie kipi, jak złociste wino;  
Trzykroć, trzykroć ten będzie szczęśliwy,  
Komu dasz się niem upić dziewczyno!

W twego ciała precudownej głębi  
Oczy toną, jak w jeziora fali  
I powrócić na słońce nie mogą  
Z ławic perel i z ławic korali...

W twego ciała.....

Dalej nie słuchałem, gdyż zainteresowało mię niezmiernie zdanie, wymówione w moim ojcystym języku:

— Ale proszę pana, zupełnie co innego jest właściciel składu aptecznego, a zupełnie co innego aptekarz...



Z cudzych pamiętników.

Fragment.



„Żał mi tych kwiatów. Rwałem je, bom coś dla niej uczynić musiał, rwałem je w takiej chwili, kiedy temu, coby mi rzekł, że dla niej mego serca trzeba, byłbym powiedział: bierz! Rwałem je w takiej chwili, kiedy szalony tęsknotą uciekłem w góry na deszcz i wicher, uciekłem z miejsca, gdzie jej już nie było, aby mi z największych urwisów patrząca w oczy śmierć, jej pamięć zasłoniła sobą.

Nie wiem, czy w tych całych górach kto kiedy tak tęsknił, tak bardzo i naprawdę serdecznie...

Wracałem z pełnymi ustami słów o niej, dla niej, do niej. Była taka pustka dokoła, że mogłem mówić głośno, nie usłyszałyby mnie nikt. Wiatr tylko szumił po żółkłych jesiennych uboczach i kopach i leciał w głąb,

między skały dziwnie martwe i ponure, jakby wszystkie te świetne kolory, któremi kwitły one przez lato, z jesienią zwiędły, podobne do kwiatów.

Szedłem i mówiłem głośno, a jeśli kiedy słowa były bezpośrednio echem duszy ludzkiej, to moje wówczas.

I zerwałem kilka kwiatów po drodze, z myślą o niej, a niewiedząc nawet czy jej, która już była daleko, dam je kiedykolwiek? Los tak złożył, że do rąk jej doszły.

I dziś mi żal, że je rwał, bo może jej ręce wszystkich kwiatów na świecie są warte, ale tych, w takiej chwili rwanych, dawać jej było nie trzeba.

Bo co one jej mówiły, te moje z górskiego pustkowia?

Oto, że kocham ją i jej kochania chcę, że gdybym mógł, tobym ją na ręce wziął i niósł i cierni szukał, aby myśleć, że ją niosę i że ona tych cierni nie czuje; oto mówiły jej, że objąć ją chcę i przycisnąć, całować w usta i szyję i u nóg jej klęknąć i w oczy jej patrzeć, a potem krew jej w płomień zamienić, aby tak wrzała, jak moja; oto mówiły jej, że jest moim snem pięknym, że wybudowałem cały świat ze złota i zieleni, z błękitu srebrno-liliowych barw, cały świat ciszy i spokoju, ciepła i woni, że odgrodziłem gdzieś czarodziej-

ską i zaczarowaną łąkę, nieskończoną, cudowną, gdzie ją powieść chcę, gdzie z nią razem chcę mieszkać; oto mówiły jej, że całą moją duszę, ze wszystkim, w co jest bogata, u stóp jej położę, i całe serce, ze wszystkim, co ono czuć zdolne, jej dam.

To jej mówiły te zerwane kwiaty.

A ona?

A ona pomyślała, że kiedy przyjdzie stosowna pora i kiedy rozsądnie będzie tak uczynić, można będzie spokojnie odwrócić twarz i odejść—i kiedy taka pora przyszła, odwróciła twarz i zupełnie spokojnie odchodzi.

Nie pójdę za nią! Ona sama uczuje kiedyś, że może za wysoko sięgnęła ręką, aby uderzyć w czoło. Przyjdzie czas, kiedy żal jej będzie, że się odwróciła tak bez jednego spojżenia, bez jednego uśmiechu, bez jednego słowa pożegnania; przyjdzie czas, kiedy zrozumie, że dotknięta duma boli bardzo i że się na pożegnanie przynajmniej rękę podaje, jeżeli nie chce powiedzieć nic...

Tak się odwracać nie trzeba było.

Z pewnością! ona ma słuszność i tak, jak czyni, czyni dobrze, jest trzeźwą i rozsądną—tylko, gdyby wszystkie inne kobiety tak uczyły, nie dziwiłbym się, ale że to ona, dziwię się i to mnie boli.

Bom ją śnił taką inną, jak wszystkie, taką odmienną...

Ze wszystkich kobiecych dusz, co najpiękniejsze wziąłem i w jej duszę przelałem; ze wszystkich kobiecych sere, co najpiękniejsze wziąłem i przelałem w jej serce — uczyniłem z niej kobietę, przed którą się klęka nie tylko po to, aby rozkosz wyprosić...

Na szczęście wiem, że to mój sen ostatni: zdrogo się je opłaca.

A zresztą jest jeszcze tyle innych ust do całowania — duszy w kobiecie nie chcę już szukać nigdy, owszem, im jej mniej, tem lepiej.

I żał mi dziś tylko tych kwiatów, zerwanych tam, w górskiej pustce, kędy mi jednak ludniej było, niż teraz, bom miał przynajmniej dla kogo kwiaty rwać — gdy dziś nie miałbym komu podać nawet jednego listka; żał mi tych kwiatów, które jej tyle powiedziały — napróżno“.

*Warszawa. Maj. 1894.*

## O ARNOLDZIE BOECKLINIE.

Trwa przed nami ona wielka, naga, od-  
wieczna. Trwa przed nami w całym swoim  
majestacie i w całej grozie, olbrzymia, taje-  
mnicza, urocza i straszna. Podobna do ogro-  
mnej bogini, która łuk i strzały śmierciono-  
śne w jednej, kwiaty i puhar wina w dru-  
giej trzyma dłoni; podobna do ogromnej bo-  
gini o brwiach z błyskawicy i ustach dzie-  
cinnych, trwa przed nami.

Szły bogi i w proch padały,  
Czas idzie i zmieniają się wiary,  
Ona trwa wieczna, jak strach, głód i zawiść  
Pierwotna tak, jak one,  
Jak one tryumfalna,  
Nad wszystko wyniesiona, niepokonana  
Niczem i nigdy, tak, jak one,  
Pierwotna, dzika potęga  
Natury!

Z pomiędzy dzikich, szalonych, okrzęsanych skał wylewa się strumień, źródło cichy i świetlisty, z pomiędzy turni spiętrzonych pod niebo, z pomiędzy chmurami omroczo-nych skał, wylewa się strumień cichy i świetlisty, jak słowiczy śpiew.

Oto tam w lesie czarnym, w przepastnym borze, wśród wykrotów potwornych, wśród tumanu gałęzi, wśród kurniawy oplątanych korzeni, wśród chaosu i burzy skłębionych pniów: biały kwiat, biały kwiat konwalii, modre niezapominajki, tajemnicza, zielona paproć nad omszonym, przejrzyśtem jeziorkiem.

Tajne i zaciszne, idyliczne grotty w wesołych, puszystych, rozkołysanych wzgórzach, omajone bluszczem, otwierają się w głąb w zawrotne, obłądne, orkanom błędzącym podobne otchłanie, podobne straszliwym dziwom morskim o ośmiu ramionach, z których każde niesie zagładę i śmierć. Strach, śmierć i zguba czyha w tej otchłani. Strach, śmierć i zguba podobna ośmioramiennej poczwarze, złemu dziwowi mór. A na listeczkach bluszczu, który umaja wejście, słoneczne blaski siadają jak złote motyle...

Mętym powodzi wzbiera rzeka błękitna, na starych gruzach wyrasta soczysta jabłoń, na pożarem wyniszczonym stepie krzewią się zboża, trzęsienie ziemi wywraca grody, a wul-

kany wygasłe rodzą wino i łagodne oliwki. Do ogromnej bogini, w jednej ręce łuk i strzały, w drugiej wina puhar dzierżącej: podobną jest przedziwna, cudotwórcza, niezbadana, zdumiewająca Matka-Natura.

\* \* \*

W sitowiu zagrał Pan. Bożek Pan. Lubi świstać, gdzie trzody się pasą, bożek o koźlich nogach, o koźlich różkach na głowie. Rozkochane w miłości być muszą istoty, co nigdy gajów różowych, ni szumu fal egejskiego morza nie rzucą, nigdy grot leśnych nie odbiegną, błakają się wśród zacisz lesistych, w zamrocznych alejach krzewów, pod baldachimem bluszczów i powojów. Gdy gra w sitowiu bożek Pan, bożek o koźlich nogach i koźlich różkach na głowie, fauny i nimfy, satyry i najady słuchają i tańczą. Tam zaś centaury olbrzymie tętnią po lesie, cyklopy mury stawiają poczwarne, giganty i tytany, jak zionące z kraterów wulkanicznych gwałty, przeciw niebu podnoszą pięść, przeciw bogu, co niebem włada, przeciw bogom morza i podziemia, przeciw bóstwom piękności i pogody. Ziemia i niebo, morza i chmury zabóstwiają się, żyją, przyoblekają kształt ludzkiemu kształtowi podobny. I oto przedziwny świat—źródła mają swą postać cichych,



białych zadumanych dziewic; każdy gaj jest kościołem zamieszkałym przez bóstwo, każda grotka dzwoni pieśnią „nimf podziemnych“, w każdym wichrze leci bóg, słońce — bóg wozi po niebie—wszędzie bóstwo! I oto przedziwny świat, świat, gdzie wszystko jest cudem, najpiękniejszy o Naturze sen. Ogromna bogini uśmiechnęła się raz tylko tak słonecznie, tak złościście, raz tylko wieki miały tak złoty, tak słoneczny uśmiech — jak echo fletni pastuszej w górach, jak echo od skały do skały: od tysiąca lat do lat tysiąca—poszło wspomnienie tego uśmiechu, trwa jego czar.

Mistyczna poezja natury raz tylko wcieliła się w pieśń tak wielką i wspaniałą. Uśmiech Piękna, uśmiech raz tylko z nieba zesłanej Piękności, owiał raz tylko na ziemi urodzony lud Greków; owiał im życie całe. Piękno owiało ich radość i ból, smutek i wesele; piękno owiało ich tragedję i komedję życia ludzkiego, wyobraźnię ludzką i odczucie. Wszystko poczęło przyjmować kształt niezrównany. Piękno stało się duszą człowieczą, już on ani cierpieć, ani cieszyć się nie mógł w innej formie. Piękno wrodziło mu się w pierś. Powstała baśń najstraszliwsze tragedje otaczająca czarem, jak noc księżycowa osrebrza pole bitwy; wesołym, słonecznym

południom, kiedy żeńcy śpiewają w polu, dająca urok, jaki paw o tęczowych piórach daje różanym klombom, kiedy się po nich w krasie barw swoich przechadza. Zło i dobro jest legendą, którą sobie ludzie opowiadają, legendą, która po ich śmierci zawisa nad nimi, jak zawisa obłok dymu nad wygasłym ogniskiem; baśnią, która poszła od nich w świat, jak idzie woń lasu poniesiona na wietrze; jak na dalekie, wysokie przyłęczce tatrzańskie idzie kędyś w dolinie zawiedziony przez juhaskę śpiew. Na świecie pozostał grecki boski myt.

I przyszedł człowiek, któremu Natura, owa Natura tryumfalna, przedziwna, cudotwórcza, niepojęta, któremu grecka legenda stanęła widomie przed duszą w całej swojej prawdzie, w całym prawdy swojej majestacie; stanęły widomie, jak dwie boginie: olbrzymia Matka, która morza przerzuca i góry obala, i najpiękniejsza jej Córa.

Arnold Boecklin. Będą o nim mówili, jak o cudownym pielgrzymie, przybędzie jakimś z zaziemskiego świata, który przed lat trzema tysiącami leśnego Pana podsłuchiwał pieśni, któremu morze odkrywało widomie przez poetów śnione tylko zjawiska, człowiek jakiś, który wszystko widział, wszystko znał, dla

którego nic nie było sennem marzeniem, ale wszystko najdziwniejsze, najcudowniejsze, najbajeczniejsze, jawą, realną rzeczywistością, ciałem. Nie jest to poeta-malarz, który tworzy — to jest wizjoner, który ma widzenia; to nie są obrazy, dzieła sztuki — to są objawienia. W tem jest siła, w tem jest potęga Boecklina. Jego rozhukana moc twórcza, jest jak rozhukana moc podzwrotnikowego słońca, jego obrazy nie są malowane, lecz wybuchają z płócien, jego pędzel nie kładzie barw, lecz trzaska światłem, jak bicz ognisty; jego dusza nie komponuje, lecz rozstrzela się, jak granat pękający. Michał Anioł, czy Rubens, Beethoven czy Wagner, Mickiewicz czy Byron, nie są więcej potężni w napięciu siły twórczej, więcej w tworzeniu silni, gwałtowni, bohaterscy i boscy.

Wyobraźcie sobie olbrzymi, południowy ogród, pełen drzew pod niebo, kaskad o szumie morza, kwiatów nad głową, kolorów, które grzmia, woni, które są powodzia, kształtów, które odurzają, jak pożar; ogród, ponad którym unosi się zadumany, mistyczny, dziwny, kamienny Sfinks...

Jego pędzel jest jako język Słowackiego: od najdelikatniejszych tonów wznosi się do grzmotu, kolosalne wizye, wściekle walki, po-

tworny chaos odtwarza równie genialnie, jak wiosnę w kwiatach, milczenie pustki, czar rozmarzenia. Pióro, które potrafiło napisać „W Szwajcaryi“, „Anhellego“, „Króla Duchy“, „Balladynę“, „Beatrix Cenci“, „Hymn o zachodzie słońca“: oto pędzel Boecklina. Dodajcie do tego, że ten człowiek zdolny jest tragicznej głębi Ajschylosa, pogody i humoru Odysei, przy mistycyzmie i allegoryi mnichów średniowiecznych: a będziecie mieli jedyny w swoim rodzaju fenomen, jakim jest Arnold Boecklin, jeden z największych malarzów, jakich świat wydał.

„Żyjesz-że jeszcze, żyjesz święta Naturo?...  
Ongi rzek brzegi, barwnym słane puchem,  
Były czystych dziedzina  
Nimf...

Pasterz, co w niepewnych  
Cieniach południa nad kwietny brzeg rzeki  
Spragnione pędził trzody  
Poić: uczonej głos słyszał daleki  
Pieśni leśnego fauna  
I truchłał, drżące widząc kręgi wodne.  
By nie ujrzały źrenice niegodne  
Olimpijskiej łowczyni,  
Jak chiton zzuwszy, schodzi w pole chłodne  
Zmyć, kurzem łowów krwawych oprószone,  
Dziewicze piersi i śnieżne ramiona.

Żyły zioła i kwiaty,  
I żyły niegdyś bory. O ludzkości  
Istnieniu wiedział mięki wiatr i chmury,  
I zapalona wysoko nad światy  
Lampa Tytana.

Tak „wieść prastara niosła“ wielkiemu poecie Włoch (Leopardiemu), budząc mu „dawnych odgłosy wierzeń“. Ale dla Boecklina to *wczoraj jest dziś*, ta „wieść“ jest świeżą, bieżącą historią: on niemal. zda się, wierzy, że „brzegi rzek słane puchem są czystych nimf dziedzina“, że pasterz „słyszy głos dalekiej pieśni leśnego Fauna“, że „przepaście górskie pełne są jęków człowieczych i skarg“.

Twórczość Boecklina obejmuje w swoich przeszło trzystu obrazach najróżniejsze światy malarstwa i pod względem różnorodności tematów, nie wiem, czy jest drugi malarz, któryby z Boecklinem współzawodnictwo wytrzymał. Jak Szekspir stworzył cały świat, tak, iż jak on brał wzór ze świata przez Boga stworzonego, tak bóstwo jakieś mogłoby świat stworzyć podług Szekspira: tak i Boecklin.

Poganizm i chrystyanizm, romantyzm i klasycyzm, idealizm i realizm, mitologia, sagi germańskie, symbolistyka, świat starożytny, średniowieczny, współczesny, prawda

i zmyślenie — wszystko objął. Leonardo da Vinci w swoich rozlicznych umiejętnościach był nie więcej różnorodny, niż geniusz Boecklina w malarstwie.

Największym, najdziwniejszym i najwięcej godnym podziwu, najsłynniejszym i najbardziej znanym, jest Boecklin—malarz bajeczny, malarz legend, jest ten Boecklin, który iście słuchał pieśni leśnego fauna, dla którego „żyła jeszcze święta natura“, który przedziwną władzą widział co niewidzialne, znał co mityczne, któremu moc jakaś niepojęta otwierała na ścieżaj bramę tajemnic Natury, Natury tryumfalnej, kiedy wydaje się dzieckiem uśmiechniętem i bóstwem grozy, kiedy podobna jest do bogini, dzierżącej w jednej dłoni łuk i śmierć noszące strzały, w drugiej kwiaty i puhar winny.

Stary centaur, któremu się kopyto zdarło, przybył do wiejskiego kowala z prośbą o poradę. Co za wyraz tego potwora! Musiał to być pomiędzy swymi „chłop na schwał“ i zapewne „pierwszy raz w życiu zachorował“. Jak on mógł zachorować i że mógł, taki chłop?! Ma w twarzy i troskę i niepokój i zdziwienie i smutek i obawę. Państwo duńskie się psuje, lęk ogarnia mieszkańców! Przed centaurem stoi kowal pod kuźnią i z miną znawcy patrzy na kopyto. Trochę

opodal, z boku, trzy figury ludowe włoskie: matka z dzieckiem na ręku, chłop i dziewczka.

Opowiadał mi nieboszczyk stary Wala z Zakopanego, że za jego młodych lat był góral Gałajda, zbójnik, tego wzrostu, że mu wysocy ludzie głowami pod pachę sięgali. Słowem: olbrzym.

Otóż wyobraźcie sobie, że taki Gałajda wylazł z gór i zjawił się na rynku w Nowym Targu, gdzie musiały podówczas krążyć cudowne powieści o bandytach z Podhala, a gdzie wydawać się oni musieli czemś bardzo ciekawem i zdumiewajacem, straszmem trochę, a niezmiernie osobliwem, ale cokolwiek bądź—dosyć blizkiem, znajomem, a nawet pokrewnem. Każdy, coby koło takiego olbrzyma Gałajdy przechodził, zatrzymałby się, co drugi otwarłby gębę, tak, jak to robi środkowa figura na obrazie, ale niktby nie uciekał, jak uciekanoby przed Gałajdą w Łowiczu, lub Nowomińsku, lub jakby przed centuarem uciekali dzisiejsi Włosi, albo Grecy. Wyobraźcie sobie twarze Nowotarżan, do których lat temu sześćdziesiąt przybył olbrzymi zbójnik podhalański kupić na przykład prochu, lub skóry na kierzce, a będziecie mieli wyrazy twarzy wieśniaków, przechodzących mimo kuźni.

Obraz ten ma wszystkie cechy Boecklina: jest fantastyczny, jest realny, jest grą imaginacyi opartą na prawdzie, jest bogaty w plastyczną psychologię figur, ma fabułę, która u Boecklina jest zawsze—(mimo to jego obrazy nie są „literackie“, czego się tak boją zwolennicy bezmyślnego kopiowania natury)—jest kompozycją i jest przykładem genialnego wczuwania się, wżycia w swoje dzieło. Bo istotnie ten obraz, jak wszystkie zresztą Boecklina, robi wrażenie, że on musiał widzieć i obserwować to, co namalował, tego centaury, tego kowala pod kuźnią i tych wieśniaków z boku, i on ich istotnie widział i obserwował w swojej wyobraźni, „oczyma duszy“. On ich zna: ci ludzie, ten centaur, to jest on sam, Boecklin, to są części jego ducha, którego on przecież zna. I tylko ten artysta jest wielki, który nam ducha swego w odtworzeniu daje. Goethe był równie Faustem, jak Wagnerem, Małgosią, Mefistofelem i Froschem; Mickiewicz równie Konradem, jak Skołubą.

Artysta musi być swoim własnym dziełem; szczerłość jest pierwszym warunkiem porządnego człowieka i porządnego artysty, prawda pierwszą podwaliną cnoty i sztuki. Ale dla Byrona sferyczne geniusze Alp są prawdziwsze, niż dla pierwszego z brzegu po-

wieściopisarza jego ludzie, bo prawda i szczerść w sztuce nie zależą od tematu, tylko od zdolności wczucia się we własną wyobraźnię, ta zaś zależy od stopnia władzy twórczej.

Geniuszem może być tylko geniusz, zaś szkoły sztuk pięknych, akademie muzyczne i uniwersytety znajdują się po znaczniejszych miastach Europy.

We Włoszech rozkwita geniusz Boecklina. Błękitne morze mu gra, bijąc falami w brzeg o tę ziemię, na którą przelało się całą falą morze artystycznego geniuszu Grecyi, po której, zda się, nocami stąpa jeszcze w tajni omroczonej srebrno-strzały Foibos Apollo, pan Muz dziewięciu, niosąc echa rzeźbiarskiego dłuta i rytmu liryki greckiej; o ziemię, której wiecznie świeża, wiecznie młoda, wiecznie żyjąca, jak słońce co dnia świeże i młode: świeci sztuka odrodzenia. Pogańska, grecka dusza Boecklina, tego jedyne go człowieka XIX wieku, który pogańską, starożytną pogodę pojęcia życia posiada i ujawnia, otworła skrzydła. Zda się, jak orzeł urodzony i wychowany w klatce w nizinach, gdy się wyrwał i w góry wyleciał: tu poczuł, że jego ojczyzna.

Boecklin się uczy. Staje się fantastycznym, jak pasterz attycki,—kolorystą, jak Tyccyan.

Wyobraźnia Boecklina nie żywi się samą odrodzoną w sobie przedziwnie i cudownie tradycją poprzedzających kultur, jak wyobraźnia Goethego; wyrzuca on z siebie rzeczy zupełnie nowe, jeżeli zaś z jednej strony widziane we Włoszech obrazy i rzeźby pozwoliły mu stworzyć swój odrębny świat mitologiczny, to z drugiej — zrobiły z niego tego kolorystę, o którym Witkiewicz powiada, iż jest tak nadzwyczajnym, że z trudnością można znaleźć w całej dawnej i nowej sztuce równego mu, że jest „może największym kolorystą, jaki istniał“.

W nowej Pinakotece monachijskiej na ogromnej ścianie, wśród mnóstwa obrazów, wisi sławne „Im Spiel der Wellen“; spróbujcie się od tej ściany cofać. Jeden po drugim, w miarę oddalania się, obrazy będą gasły, ale „Im Spiel der Wellen“ jeszcze do trzeciej sali z ukosa świeci granatem swego morza i rozmaitą barwą ciał w niem płynących.

Kolor jest główną i decydującą wagą wartości malarstwa, jak plastyka rzeźby, a „wszystkie zalety genialnego malarza kolorysty cechują obrazy Boecklina. Transponuje on kolor natury na najwyższy dostępny malarstwu ton; harmonizuje go w sposób bezprzykładowy: przetapia farby na powietrze, skały i wodę—tak, że obraz jego robi zupełne wrażenie na-

tury—i, dzięki temu—jest jednym z największych artystów, nie! lko dziewiętnastoletniego stulecia“—mówi Witkiewicz.

Staralem się, ile potrafiłem, zupełny dyktant, dać wyobrażenie ogólne o malarzu, wyobrażenie, które chcę zilustrować przykładami z jego dzieł, powołałem się na Witkiewicza, aby temu, co piszę, dodać wagę.

Mówić o wszystkich obrazach Boecklina jest niepodobieństwem; jest ich cała galeria, przeszło trzysta, będę się więc starał wybrać ze znanych mi te, które mi się wydają najcharakterystyczniejsze i najlepiej ilustrujące jego twórczość.

Jak Natura, która ma dziewczęce spojrzenia i lwi cios ręki: tak Boecklin w swojej fenomenalnej, nadludzkiej prawie zdolności koncepcji, uśmiecha się naprzemian i uderza młotem o tarczę spiżową, rwie kwiaty i stacza głazy ze zrębu w przepaście. Oto olbrzymim Prometeuszem zawałił górę całą. O górę bije morze, mieniące się od purpury do czarności prawie morze. Porosłe zbocza góry, drzewa oliwne o srebrzystych liściach gniewicher. Nad Tytanem szaleje burza, straszna, ponura, której dziką grozę w dziwny i nadzwyczajny sposób potęgują blaski słoneczne, przedzierające się przez chmury. Pejzaż fantastyczny: Szekspir malarstwa jest sobie

wierny—stworzył górę, jak stworzył Prometeusza. Kolosalność tej kreacyi dorównywa kolosalności Makbeta, a żaden z poetów, ani Ajschylos, ani Byron, ani Goethe, ani Shelley nie pomyśleli wspanialej tego, który się w obronie ludzkich praw porwał przeciw woli Zeusa. Obraz huczy i wyje burzą, a zarazem grzmi tak niebywałą potęgą geniuszu, że zdaje mi się, iż nie większe natchnienie miał Michał Anioł, kiedy ujrzał przed sobą Mojżesza.

U stóp góry, w morzu, Nereidy, owa Jona i Pantea i Azya Shelleya, strwożone i stroskane. Straszliwa tragedia duszy ludzkiej, tej duszy olbrzymiej, która zawała sobą świat cały, a jednak nieruchomo w więzach swoich leży. Odwieczna tragedia myśli ludzkiej, jej woli, jej pragnień, jej samowiedzy, jej zdolności czynu wobec władzy fatalnej. Odwieczne cierpienie, odwieczny ból, odwieczna skała Kaukazu—i odwieczne zdumienie przed tym ogromem ducha, przed tą jego potęgą, przed tą jego dumą nieugiętą, przed tym bogiem ziemskim, który się duchem ludzkim nazywa. Odwieczna tragiczna, najtragiczniejsza walka między człowiekiem i władzą fatalną, między tem, co jest bezsilne i tem, co wszechmocne, co stworzyło świat, stworzyło człowieka, wraz stworzyło śmierć, ból i nie-

wiadomość. Odwieczny majestat bólu — odwieczne: cierpię, więc jestem duchem.

Drobne, małe, nikłe cząstki psychicznej istoty ludzkiej strwożone i stroskane tulą się do tej skały, którą zawalił sobą nieskończony, bezwieczny, rozumny, czujący i myślący duch ludzki. Patrzą nań w podziw i grozie. Pojąć go nie mogą — jest dla nich za wielki. Tylko łkanie ich słychać, łkanie tych Nereid, drobnych, małych i nikłych, zawodzących nad losem Tytana.

A oto, z koźlą nogą założoną na nogę, pstrzykając dla taktu w palce, odłożywszy na bok nuty i flet, wygodnie oparty o kępę trawy i kwiatów, brodaty Faun gwizdże i uczy gwizdać kołyszącego się nad nim na badyłu szpaka, czy kosa; albo gdzieindziej dzieci tańczą nad potokiem w wiosenne rano, dziewczyna bawi się kwiatkiem, czule pary szepcą miłośnie, Pan gra na formidze nad przejrzystą sadzawką między ruinami korynckich, w liść rzeźbionych akantu, kolumn, albo ów sławny Pan w sitowiu, w Pinakotece monachijskiej, przed którym dusza się roztafia w zadumę i przepada w uroku — — spokój, cisza, harmonia.

Ile jest „idylli“, „wiosen“, „ranków wiosennych“, „obudzeń wiosny“, „idealnych krajobrazów wiosennych“ — nie wiem, ale sądzę,

że można o Boecklinie powiedzieć to, co powiedział o Goethem Napoleon wielki: *Voilà un homme* — oto cały człowiek, oto cała dusza ludzka, w najwyższym swoim napięciu od największej pogody do najstraszliwszego tragizmu, przez całą gamę uczuć, wrażeń i myśli, przez całe życie. A to życie jest krótkie, jak sen. Więc patrzcie:

Nad ruczajem, na którym płynie kwiat, dwoje nagich dzieci, zajętych nim i rozbawionych, z bukietem w ręku, na prawo od nich, półnaga, a zdradzająca cały kształt, rozmarzona, „stworzona do pocałunków i uścisków, na rozkosz i miłość“ — dziewica; na lewo rycerz średniowieczny w męskim wieku, z lancą i w szyszaku, jedzie konno w świat, mężny, dzielny, pewny siebie, odważny i stworzony do czynu pan świata; na górze, wprost nad dziećmi, szkielet śmierci ułamanym gdzieś sękatym kawałem drzewa uderza w kark sędziwego starca, który zgarbiony siedzi na kamieniach.

Pośrodku obrazu marmurowe wgłębienie, gdzie przez usta Sfinksowej głowy toczy się woda, tworząc później ruczaj, ponad nią zaś na marmurze napis: *Vita somnium breve* — życie sen krótki. Trawa, kwiaty, drzewa, marmury. Dzień na łące wiosennej; dziewica pośród drzew idyllicznych, róż i słońca; przed

rycerzem otwarta przestrzeń i drzewa nad nim poważne; nad starcem chmury. Symbol życia. Coś jest tak niesłychanie wysokiego w tej kompozycji, tak niesłychany nastrój daje ta głowa Sfinksa, z której woda ciecze: że aby to wypowiedzieć, trzeba by być Beethovenem, czy Mozartem.

Wieczność życia szeleści w tej sączącej się strudze wody z ust symbolu tajemnicy, jakim jest Sfinks, jakaś nieskończona, bez dna i brzegu, początku i kresu, pogodna melancholia.

Oto jest życie tak, jak je ogólny, zdrowy, powszechny umysł klasycznego człowieka powinien i musi pojmować.

Życie, widziane z góry, takie, jakie być powinno, klasyczne, ma w sobie tylko tajemnicę początku i melancholię śmierci. Skąd wyszło życie? dokąd dąży? jaki cel jego? Z ust Sfinksa płynie struga wiecznej wody...

Gdyby życie było takim, jak Boecklin je myśli, byłoby szczęśliwym, byłoby szczęściem. Starzec czeka na śmierć, ale trzy generacje przed starością są szczęśliwe. Życie rzeczywiste nie jest takim, ale o takim powinno się marzyć i o takie starać. I oto Boecklin, ten fantastyczny, obłąkany prawie fantazją Boecklin, staje przed nami, jak mądry i dobry nauczyciel, jak jakiś mędrzec

platoński, pogodny, rozumny i wysoki mistrz życia.

Jest gdzieś na morzu, na pustem, nieskończonym, zaświatowym morzu, wiecznie milczącym i wiecznie uśpionym, wyspa skalista, pełna cyprysów, do której jakiś geniusz wieczności wykował wchód, w skałach wykował mieszkania, i tam to, przez tę milczącą, wiecznie senną wodę, na długiej łodzi czarny przewoźnik przeprowadza dusze umarłych.

Spokój zupełny, można patrzeć wieczność całą, nie ujrzy się na tem morzu żagla białego, ani łodzi wesołej. Tylko raz po raz w cichej, niemej łódce czarny przewoźnik przywiezie tu duszę ludzką, w białe płótno owitą, która schylona, z rękami na krzyż złożonemi, pokorna i milcząca wobec milczenia śmierci, wpływa w tę przystań, aby już nigdy za mrok ten, za to morze nie wrócić. Jest coś religijnego w tym obrazie i nigdy, bez wątplenia nigdy, — żaden malarz dając główną, przeważną wagę pejzażowi, nie wywołał tak głęboko wzruszającego duszę nastroju, nie namalował pejzażu, któryby budził tak głęboko wzruszającą duszę myśl.

Taka śmierć nie jest ani dramatem, ani tragedią. Obraz ten jest smutny, ale ten smutek nie ma w sobie nic rozdzierającego: jest to idylla śmierci.



Wielki poganin, najbardziej helleński umysł XIX wieku, może najbardziej helleński od istnienia samych Greków, nie namalował za przykładem Michała Anioła, czy Rubensa—sądu ostatecznego, nie odtworzył za przykładem Danta trzech kondygnacji chrześcijańskiego *po śmierci*: wymalował zacisze, przystań spokojną, bez kar i bez nagrody, bez szatanów i bez chórów anielskich, wieczny, milczący wypoczynek istot, które tak żyły jak musiały, jak je zmusiła „tryumfalna, nad wszystko wyniesiona pierwotna potęga Natury“...

Niema tam nawet żalu greckich cieniów elizejskich. Duch Achillesa nie tęsknił by tu do światła dziennego, choć państwem cieniów rządzący. Tu jest niepamięć, zapomnienie wszystkiego, co było życiem. Pewna, cicha przystań, wiekuiste zatopienie się w bezkres, wpatwienie się w siność morza i siność obłoków, jednotonną, niewzruszoną, niezmierną. W tej tragedyi, jaką jest śmierć, jest to najpogodniejsze pojęcie jej, jakie kiedykolwiek w duszy ludzkiej powstało. Obląkany prawie fantazyą Boecklin, jak był nauczycielem mądrym i dobrym, kiedy życie malował, tak jest wielkim i mądrym pocieszycielem, kiedy maluje śmierć. „Wyspa umarłych“ uspokaja i ucisza. Może tam jest tak, a więc jest do-

brze. Ludzie odpływają, jak mgły z łąki na jezioro. Idą odpocząć.

Dwadzieścia kilka wieków zdmuchniętych jak opar, przez wiatr. Jak łódź przez gąszcz, nie czując gałęzi, idzie ku polanie, tak wielki malarz szwajcarski przez epokę chrześcijańską wraca wstecz w głąb czasów mitologii greckiej, w jej głąb najrdzenniejszą, bez wysiłku i trudu. I rozpoczyna się cały szereg arcydzieł, fauny, nimfy, trytony, centauiry, najady, potwory i widziadła morskie, fantazya w tym stylu może najwyższa, jaka istniała od czasu tych, którzy te mity tworzyli.

Brodaty więc Pan, wieczne bóstwo trwogi, przeraża głupiego arkadyjskiego pastucha, który ucieka wraz z kozami na złamanie karuku wąwozem górskim; inny Pan, w sitowiu grający na piszczałce powietrzu, niebu błękitnemu, trzcinom wodnym, żabom i sobie, jedno z arcydzieł Boecklina i opokowy w jego życiu obraz. Do tej chwili Boecklin był nieznanym, nieuznanym, przymierał nawet głodem razem ze swoją cudowną Rzymianką. Krytyka usiłowała go zabić, krytyka ta *sui generis*, tak skora do zabijania, do pamfletu i paszkwilu, jak nędzne i głupie są te głowy, które ją wytwarzają. Ale Boecklin szedł dalej. „Pan w sitowiu“ otwarł mu świat. Zwycię-

żył, jak Wagner, jak Ibsen — i obraz szedł za obrazem.

„Cisza morska“ — na skale, wśród zupełnie, zwierciadlnie spokojnego morza, pół kobieta, pół ryba, z rozplyniętą falą włosów; na rybim jej ogonie mewy, pod skałą zaś, w morzu, na wznak, potworny wodnik z pletwiastym i kolczastym ogonem, wystającym z wody; wokoło pusto.

Na tym obrazie da się może najlepiej widzieć, jak Boecklin *stwarza* swój świat. Twarz tej nereidy jest kobieca, ale nie ludzka. Tu jest właśnie dziwny geniusz Boecklina, aby nie czyniąc nic wbrew naturze, potrafić uwiocznąć różnicę między światem ludzkim a nadludzkim, czy raczej pozaludzkim; ta nereida nie tylko dla tego nie jest kobietą ziemską, że ma rybi ogon, lecz oczy jej, rysy, wyraz, całe ciało od pasa, choć jest bardzo piękna, nie są kobieco-ludzkie. Zdaje mi się, że w tej mierze nikt Boecklinowi nie dorównywa. Kiedy Rafael namalował swoją Galateę ze stylizowanymi, jak do ornamentu, delfinami: namalował cudownie cudowne kobiety, które mają tę własność, że żyją w wodzie.

Cudowna również np. „Diane chasseresse“ Beniamina Constant'a, gdyby nie była naga i z łukiem, lecz w sukni—byłaby wspaniałą, potężną kobietą. Byłyby kobietami również

wszystkie nimfy Rubensa, byłyby niemi Wenus z Melos, bogiem pozostałby Zeus z Otricoli—i nie mogłyby być ludźmi trytony i nereidy Boecklina.

Inny obraz—„Tryton i Nereida“: ona leży na wznak z ręką założoną pod głowę, bawiąc się dziko, namiętnie i lubieżnie z kolosalnym, świecącym się od barw węzłem morskim, jak się bawią z kotami nerwowe, zmysłowe i podrażnione zmysłowo kobiety: tryton dmie w konchę w pomroku wieczoru.

„Idylla straszniejszego i tajemniczego żywiołu, jakim jest morze, idylla, gdzie zamiast motyla jest wąż, zamiast cichej łąki, brzęczącej owadami, ponury ryk ciemnej fali“ — mówi Witkiewicz.

Jeden z najslawniejszych arcydzieł Boecklina, a zarazem najpiękniejszy z morskich obrazów, jest monachijskie „In Spiel der Wellen“. Centaur zapędził się w morze za nereidą: ta bryzgnęła mu w fale, stopy tylko z drobną pletewką i trochę różowego tyłu pokazując napastnikowi, cała zresztą tonąca w przezrocznej wodzie.

Centaur opasy, ogromny, brązowy, już, już chwycił rozkoszą zdobyc—osłupiał, oczy wybałuszył, grube wargi rozwarł, ręce kosmate rozpostarł...

Na froncie nereida o nogach, przerosłych w rybie ogony, lubieżna, leniwa, z koralami we włosach, płynie z ręką na ramieniu trytona, który ją wpół objął, brodaty, w wieńcu kwiatów na głowie; śmieje się — nereida ma ciało, jak wiosna, a w oczach i ustach pragnienie... Za nimi wynurza się coś straszego; zielona głowa o wyłupiastych, potwornych oczach, o rozdętych policzkach i wargach, łysa, z grzebieniem kolczastym, jak u niektórych ryb, na czaszce. Ta głowa, to jest to, co Sienkiewicz lubi pisać: „nagle stało się coś dziwnego...”

Tajemna, niezbadana Natura nie ma dla Boecklina tajemnic i skrytości. Morze pokazało mu swoje cuda, pokazało mu widomie, o czem poeci tylko śnili.

„Milczenie w lesie“ (Das Schweigen im Walde). Na jakimś dziwnym zwierzęciu, które ma nogi jakby konia, ciało jakby lamy o barwie żyrafy, na głowie potwornego przeżuwacza jeden długi, prosty, stożkowaty róg: edzie kobieta zamyślona, milcząca, w koszuli, z nagiemi rękoma, założonemi na kolanie. Zwierzę jest wysokie, jak koń. Wkoło pnie leśne, pomiędzy które lśni powietrze.

Dlaczego to jest „milczenie w lesie?“ Dlaczego Bürger napisał swoją „Lenore“, Poe „Czarnego kota“, Maeterlinck „Siedm księ-

źniczek?“ Któż to wie? Taka im przyszła myśl. Skąd? dlaczego? co znaczy? co mówi? Czy jest to właściwie myśl, czy raczej pomyślenie? Kwestya jest tylko jedna: czy robi wrażenie?—mówiąc bieżącym językiem; czy wywołuje nastrój?

Nastrój ma tylko jeden obowiązek: wprawić duszę w stan niezwykły, „nastroić ją“. Dlaczego się Boecklinowi cisza leśna tak wyobraziła, a nie np. jako pusty zupełnie bór—na to nikt nie odpowie, z pewnością i on sam nie. Fakt jest tylko ten, że ten człowiek nie tylko greckie mity odczuł, jak nikt drugi, lecz i swoje własne tworzy, bo taka kobieta, jadąca na swym dziwnym wierzchowcu, zupełnie jest warta centaurów, albo Pana, jako plastyczne pojęcie. Fakt jest także, że obraz rozmarza i wprawia w zadumę, czyni więc to, co las, kiedy milczy, a zatem dopina celu.

Melancholię, tęsknotę, zamyślenie przedziwnie umie Boecklin odtworzyć. Taka „Willa nad morzem“ malowana dwa razy, w szarym, matowym tonie, raz podczas zachodu słońca, jest jednym z najsmętniejszych obrazów, jakie znam. Nad morzem, które się płytko rozlewa, a w nieskończoność idzie pośród cyprysów, które gniewiatr od morza, wśród bujnej, dziko zapuszczonej roślinności, stoją ruiny willi; nad samą wodą, oparta o stary

mur kobieta, w długiej szacie, z układem rąk i nóg, jaki zwykle spostrzedz można u ludzi popadłych w smutną zadumę. Mewy unoszą się w powietrzu — zresztą jest absolutna pustka.

Głęboką, przygnębiającą tęsknotę tego obrazu równoważy może, jeżeli nie przewyższa — „Odyseusz u nimfy Kalipso...”

Kalipso, prawie naga, z harfą, siedzi u wejścia groty; Odyseusz na zrębie skały, plecami do widza, patrzy na morze w przestrzeń. Wysoka, podobna do słupa, postać bohatera, w długiej draperyi, na podwyższeniu i na tle nieba, jest efektem malarskim niezrównanej mocy.

Tu jednak działa i bajka, którą znamy; wszyscy wiemy, jak ogromną jest tęsknota tego człowieka.

Mówi nam o tem najpiękniejszy, najdoskonalszy poemat, jaki jest na świecie:

On siedział tam na brzegu, płacząc; jego oczy  
Nie osychały od łez; a pobyt uroczy  
Truła ciągłą tęsknicą, bowiem do bogini  
Serce stracił...

Na urwisku więc siedział w dzień osamotniony  
Serce trapiąc wzdychaniem, lamentem, żalobą,  
Wzrok topiąc ciągle w morze pustynne przed sobą.

W galeryi hr. Schacka w Monachium pierwszy z Boecklinów na ścianie: jest szturm

jesiennego wichru tak straszny, że liście lecą tumanem z poprzyginanych ku ziemi drzew. Wśród drzew aleja, na lewo morze, na prawo ruiny. Wszystko złoto-czerwone, jesienne, w płomieniach zachodzącego słońca. Płomień bije z obrazu; jest to taka potęga koloru i jaskrawości, iż oślepia. W aleję, na karym koniu z ogonem do ziemi i olbrzymią, zwichrzoną grzywą, idącym w jakimś dziwnym, szalonym ruchu — okręcony draperyą wjeżdża szkielec. Jest to „Ritt des Todes” — jazda śmierci. Wśród tego huku wichru, tych liści, które się palą na powietrzu krwawem od słońca, — w tej pustyni, w tej ryczącej martwocie morza i ziemi, ten konny kościotrup: to jest szarpnięcie nerwów, jak szarpnięcie ręki olbrzymia za gardło.

Nieopodal tego obrazu wisi drugi, który opisuje Witkiewicz. Pozwolę sobie przytoczyć część tego opisu: „Nad bagnami zarosłemi oczeretem, wśród którego płynie strumień, stoją wierzby — przelatuje ciemną, porozrywaną błyskawicami chmurą burza, kołysząc gałęzie drzew i chyląc badyle trzcin. Na ziemi leży trup, którego zabójca obrabowuje — wszystko prawdziwe. Ale za strumykiem, na którym leży kładka, stoją trzy straszne, wstrętne wiedźmy — wyrzuty sumienia, czy wogóle emblematy potworności

ci i okropności zbrodni. Jedna z nich na cieńkich, jak patyki, łydkach, z ogromną napuchłą twarzą, owiniętą wieńcem zielonych żmij, patrzy jakąś straszłą, rozwartą, krwawą źrenicą; drugie miotane gniewem, szamocą się, śmigając w rękę węzowymi biczami“. Tyle Witkiewicz.

Obraz w tragizmie nie ustępuje Makbetowi; ustęp w Balladynie po zabójstwie Aliny:

„Wiatr za mną goni i o siostrę pyta;  
Krzyczy: Zabita! zabita! zabita!“

jakkolwiek potężny, prawie błądy jest wobec tego obrazu. Potrzeba jakiejś miary Ajschylowej, aby tak zbrodnię pojąć i przedstawić.

Jeżeli teraz przypatrzymy się takiej np. rzymskiej winiarni, takiemu obrazowi „Vinum bonum“. gdzie wśród róż i bluszczów, w pełnym słońcu i w jasnym błękicie, zataczają się, śpiewając i tańcząc, napół pijani Rzymianie; jeżeli spojrzymy na idylliczną „Skargę pasterza“ podług ody Horacego, lub na przepiękną — w wieńcu amorków, na łagodnym morskim potworze — płynącą Wenus Anadyomene, której zmysłowy kształt przypomina Tycyanowskie kobiety; jeżeli przypomnimy sobie obrazy, o których mówiłem poprzednio: zaiste zdumienie musi wywołać taka skala fantazyi u jednego człowieka.

I nie tu koniec jeszcze. Boecklin jest także malarzem religijnym.

Z prerafaelistyczną prostotą wymaluje grającego na skrzypcach eremity w kaplicy, z aniołkami, którym da swoją odrębną, naturalistyczną, realną cechę, aby obok tego wymalować anachoretę, biczującego się na urwisku skalnym pod krzyżem, nad którym krążą czekające na trupa starca kruki; aby nakoniec sięgnąć do najwznioślejszych tematów nowożytnego malarstwa, namalować „Zdjęcie z krzyża“ i „Pietę“.

Opisywać tych obrazów nie będę; dla mnie najpiękniejszą postacią jest postać Matki Boskiej upadłej na ciało Chrystusa, której twarzy nie widać, a której boleść jest wyrażona z niezrównaną siłą w ruchu ciała i rąk. Obrazy te zresztą mogą się różnić zaletami kolorystycznymi od innych podobnych, są już jednak „na dany temat“, i jeżeli wartość ich może być nawet bardzo wielka, a istnienie nowym dokumentem wszechstronności wyobraźni Boecklina, to jednak nie one stanowią będą fundament jego nieśmiertelnej sławy.

Nie wiem, czy wymieniłem trzydziestą część obrazów, które Boecklin ogółem wymalował. Wielu rozproszonych po całym świecie, od Szwajcaryi aż do Azji, natural-

nie nie mogłem widzieć; nie o wszystkich mówię, które znam, starałem się wybrać ze znanych mi najcharakterystyczniejsze i najpiękniejsze.

Boecklin wywarł ogromny wpływ na współczesne malarstwo w Niemczech. Można by wymienić cały szereg malarzów — zaczynając od najzdolniejszego z nich, autora „Wojny“, „Grzechu“ i „Sfinksa“, Franza Stucka — którzy wyszli z jego szkoły. Ale ta szkoła jest obosieczna, bo jeżeli ten „może największy kolorysta jaki istniał“, może, jak nikt drugi, wskazywać, do jakiego ideału dążyć i dojść powinna malarska technika, to z drugiej strony, jako twórca, jest on tak samodziśny, tak oryginalny, że naśladować go niepodobna, aby go — nie naśladować, to jest, mówiąc wyraźnie, nie kopiować, lub nie przerabiać.

Wielkie talenty, zaczerpnąwszy tchu u mistrza, idą w swoją drogę; małe kręcą się w zaczarowanym przez niego kole. Nie tylko jednak w Niemczech, lecz po całej Europie rozszerzył się powoli Boecklinizm; u nas najwięcej znać go może na zmarłym nieodżałowanej pamięci Pruszkowskim.

I nie tylko w malarstwie odcisnął wielki Szwajcar swoją lwią łapę; zarówno w rzeźbie (widziałem np. w Berlinie wodnika nad uto-

pioną kobietą, żywcem w gips skopiowanego z Boecklina), jak i w poezji (Waldschrat i Nickelmann w „Dzwonie zatopionym“ Hauptmanna) jest już, a wywrze niewątpliwie wrażenie na muzykę. Czy „Wyspy umarłych“, „Vita somnium breve“, Willi nad morzem“, „Odysseusza u Kalipso“, „Pana w sitowiu“, idylli morskich nie mógłby doskonale ilustrować muzyką jakiś Chopin, Schumann, albo Grieg, który tak cudownie zillustrował w swojej suicie fantastycznego ibsenowskiego Peer-Gynta?

Boecklin jest do dziś najpotężniejszym malarzem *nowej sztuki*. Jakikolwiek, gdziekolwiek przybiera ona kierunki, chyli przed nim głowę, albowiem Boecklin nie należy do *szkoły*, lecz do sztuki, nie do chwili, lecz do historii. Pozostanie na zawsze, jako fenomen, jako bezprzykładna fantazja i bezprzykładna samodzielność, pozostanie zawsze wielkim malarzem dla tych, dla których *sztuka* jest wielką.

Takim jest Boecklin, takim jest ten człowiek, którego urodziła olbrzymia Matka-Natura, co morza przerzuca i góry kołysze, i najpiękniejsza jej Córa, Grecya, grecka legenda, grecka baśń. Takim jest ten człowiek, przed którym Natura stanęła wielka, naga, odwieczna, przedziwna, w całym swoim ma-

jestacie i przepychu, olbrzymia, tajemnicza, cudotwórcza i straszna, podobna do ogromnej bogini, z łukiem i kołczanem strzał śmiertelnych w jednej, z kwiatami i puharem winnym w drugiej dzierzonym dłoni. Takim jest ten człowiek, przed którym z pomiędzy dzikich, szalonych, skrzesanych skał wylał się strumień, źródło cichy i świetlisty, przed którym otwarły się groty, tajne, zaciszne groty w wesołych, puszystych, rozkołysanych wzgórzach, omajone bluszczem, o uroczych wejściach, zawrotne, obłądne, podobne straszliwym ośmiornicom w głębi przepastnej. Takim jest człowiek, dla którego niema dziwów niepojętych, tajemnic niezbadanych, skarbów zanadto zaklętych i zanadto strzeżonych; człowiek, dla którego jak dla z przed trzech tysięcy lat attyckiego pasterza, Pan gwizdże w sitowiu, ziemia i niebo, morza i chmury zabóstwiają się, przyoblekają kształt ludzki, dla którego rzeki, jak ongi, były czystych dziedziną Nimf, a zwierciadłem źródła tajemnicze, któremu w każdym wichrze leci bóg, w każdej fali bogi igrają.

Życie objawiło mu się, jak się objawia oczom alpejski szczyt, z którego chmury opadną. Straszliwe otchłanie przepaści lecą w dół, dyszą gdzieś w zawrotnej wyżynie turnie i iglice, fale pasu, szafiru, srebra i złota ol-

śniewają, otumaniają oczy. Objawiło mu się życie, jak chaos w dniach stworzenia, potworne swoim bogactwem, swoim przepychem, bujnością. Kaskadą runęło mu przed oczy, lawiną barw, kształtów, myśli i czuć.

Tryumfalnym duchem ludzkim jest Boecklin.

Tryumfalny duch! Jest coś w duszach ludzkich wyższego nad ziemię, wyższego nad istnienie ziemskie; jest coś w duszach ludzkich, co się gdzieś za ziemią poczęło, nad ziemię rwie, nad nią unosi. Jak Prometeusza Zeus przykuł do skały Kaukazkiej, ale mu myśli skrepować nie zdołał; tak nad życia kłęski i boleść wznosi się duch, duch za ziemią, nad ziemią zrodzony. Tam jego ojczyzna! Jest jakiś kraj, gdzie kłęska i ból ziemski dojść nie mogą, jest jakaś łąka mistyczna, gdzie między zioła, między kwiaty polne

I lilie, srebrnym świecące się puchem,  
Czyste i ciche chodzą dusze wolne,  
Czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

Jak bóstwo duszy ludzkiej gdzieś wysoko, wysoko, gdzieś w zawrotnej wyżynie, wśród turni i iglic przepastnych, wśród obłoków i luków skał najwyższych... Wyteźmy oczy, a potem wyteźmy ramiona, wyteźmy piersi nasze... Czy je widzicie? Oto kędyś, wysoko,

wśród skał najwyższych, gdzieś wyżej, wyżej jeszcze, gdzieś wśród gwiazd, gdzieś nad gwiazdami jeszcze — — czy je widzicie? W ogromnej, w nieskończonej, w bezkreśnej Przestrzeni, w wieczystej Ciszy, w wiekuistym Świetle: tam krąży to, co jest boskie w duszy ludzkiej, to, co jest w niej tryumfalne, to, co jest jak Natura nad wszystko wyniesione, niepokonane niczem i nigdy.

Boecklin urodził się w Szwajcaryi; u nas Jan Matejko.

1899 r.

## EWOLUCYA I REWOLUCYA\*).

---

\*) Pierwszy rozdział książki Elizeusza Reclus.



Zwrócił się do mnie niegdyś, w epoce wyjątkowej, jeden z redaktorów warszawskich z życzeniem, aby mu napisać fejtton pod tytułem „Współczesna dusza polska“. Wypadki jednakże leciały tak szybko, a „Współczesna dusza polska“ krystalizowała się tak rozmaicie, objawiała w tylu różnych formach i przybierała tak różne postacie, że ująć ją w jakąś klamrę, powiedzieć jej: jesteś tą, a nie inną—niepodobna. Byłoby to rzeczywście mierzenie „siły na zamiary“.

To pewna, że współczesna dusza polska przechodzi zmiany: jest w stanie wrzenia i formacyi, w jakich nigdy nie była. Przewracają się i odwracają wartości. Stare — nie „prawdy“, bośmy w nie dawno, z wyjątkiem głupców, wierzyć przestali, ale stare

zwyczaje ustępują z pola. Przewrót idei, wyobrażeń, przywyknień odbywa się w naszych oczach z dnia na dzień. Nie ostoi mu się nic. „Burżuj“, mieszczanin, szlachciz, arystokrata, nawet ksiądz, wszystko ulegnie zmianie i *uledz zmianie musi*. I czują to wszyscy ci z tych sfer, którzy mają jakikolwiek rozum w głowie. Zarówno wogóle wśród masy ludzkiej, jak poszczególnie u każdego człowieka odpadną pewne przeżytki, na miejsce których wyrosną nowe zdobycze pojęć i chęci. Przekształca się człowiek, przekształca się rodzina, przekształca się społeczeństwo, przekształca się *dusza ludzka*. Nie brońcie okopów świętej Trójcy, wy, którzy ich bronicie! Czas wasz przeminął — musicie ustąpić, i nie pocieszajcie się tem, że jednak stary porządek rzeczy zawsze będzie wracał, że przetrwał on już „nie takie czasy“ i że „może się coś ugiąć, ale nie może runąć“. Owszem — może runąć i runie. Przedewszystkiem muszą runąć i runą przywileje warstw uprzywilejowanych; w tym kierunku rewolucya i ewolucya prą najmocniej, najuparciej i najpewniej. Wszystko inne jest niby pobocznym dodatkiem. Niższe sfery dźwigają się do góry — chłopci i proletaryat miejski. Chcą oświaty, chcą nauki, chcą poprawy i bytu i stanowiska w towarzystwie ludzkim. Idą ku

temu może i nie zawsze drogą dobrą, ale idą w tak olbrzymiej masie, że dojdą. Naturalnie, odbywać się to musi powoli. Nie może wieloryb wykonywać w morzu tak szybkich ruchów, jak szczupak w rzece, ale może nieskończenie dalej zapłynąć.

Nad przemianą wartości, nad przemianą ustrojów społecznych, odkąd ludzkość, raczej odkąd świat istnieje, pracują dwie moce: moc ewolucyi i moc rewolucyi. W tych dwóch drogach przerabia się i przeinacza ziemia, przerabia się i przeinacza ludzkość. One to, ewolucya i rewolucya, zapobiegają zastojowi, zamarceniu istnienia, stwardnieniu i zaskorupieniu się jakiegokolwiek bytu. Wszystko musi naprzód dążyć — nawet śmierć stwarza życie. Nic nie może stać w miejscu. Wieczna twórczość przenika wszechbytu — tworzy ciągle i bezustannie światło słońca, ruch oceanów, czy wewnętrzne stygnięcie ziemi, jak tworzy spokojna woda w sadzawce, czy rozmarzona leniwa dama w różowym staniu i białej spódnicy na balkonie.

Od czasów jednej z największych epok w dziejach ludzkości, od czasów rewolucyi francuskiej, dwa te słowa: rewolucya i ewolucya, weszły potężnie na porządek dzienny myśli ludzkiej. I dlatego sądzę nie od rzeczy będzie opowiedzieć, kto nie czytał, jak zna-

komity myśliciel francuski, Eugeniusz Reclus, dwa te wyrazy tłumaczy.

„Ewolucya—powiada—jest nieskończonym ruchem wszystkiego, co istnieje, nieustanną przemianą wszechświata i wszystkich jego części od przedwiecznych początków i przez bezkres wieków. Drogi mleczne, widne w bezbrzeźnych przestrzeniach, które się krystalizują i rozpadają w czasie milionów i miliardów wieków, gwiazdy, które się rodzą, które się skupiają, i które umierają, nasz wir słoneczny ze swoją gwiazdą centralną, planeta-mi i księżycami, a w ciasnych granicach naszego małego ziemskiego globu góry, które się wznoszą i nikną, oceany, które się tworzą, aby wyschnąć z kolei; rzeki, które się pienia w dolinach, a potem wyparowywują, jak rosa poranna, pokolenia roślin, zwierząt i ludzi, które następują po sobie, i miliony niedostrzegalnych istnień, od człowieka aż do komara: wszystko to nie jest niczem, jak tylko przejawem wielkiej ewolucyi, oplatającej wszechświat w swój bezgraniczny odment.

„W porównaniu tego pierwotnego faktu ewolucyi i życia powszechnego czem są wszystkie te małe wypadki, nazwane rewolucjami astronomicznymi, geologicznymi, czy politycznymi? Prawie nieodczuwalne drgnienia, prawie żłudy. Myriadami po myriadach nastę-

pują po sobie rewolucye w powszechnej ewolucyi; ale, jakkolwiekby były małe, są częścią nieskończonego ruchu“.

To jest to, co mówi Duch do Fausta:

„W falach żywota, w burzy czynów,  
wznoszę się, spadam,  
przędę tu i tam!  
Narodziny i Śmierć,  
wieczyste morze,  
przezienną przędzą,  
płonące życie,  
przetwarzam przy warczącym warsztacie czasu  
i czynię żywy płaszcz bóstwu“.

Tylko Elizeusz Reclus nie widzi na końcu, czy u szczytu pracy: *bóstwa*, nie wie dzie go ewolucya przez rewolucyę ku boskości. On trzyma się ziemi i poza nią nie sięga. *Wszystko* nie prowadzi ku żadnym nadmysłowym pojęciom—tu jest tylko ziemia.

„Wielkie dni są zwiastowane... Na końcu wszyscy przeciwnicy ustąpią i ustąpią bez walki. Przyjdzie dzień, kiedy Ewolucya i Rewolucya, bezpośrednio przechodząc z pragnienia w czyn, z idei do realizacji, zleją się w jedno i to samo zjawisko. W ten sposób działa życie w organizmie zdrowym, czy to człowieka, czy świata“.

Zrozumiemy jednak dobrze treść słów: ewolucya i rewolucya.

„Nauka—powiada Reclus—nie zna żadnego przeciwieństwa między temi dwoma słowami, które są do siebie tak podobne, ale które w mowie potocznej są używane w sensie zupełnie odmiennym od ich pierwotnego znaczenia... *Ewolucyę*, synonim stopniowego rozwoju w ideach i obyczajach, przedstawiają jako przeciwstawienie tej strasznej rzeczy, jaka jest *Rewolucya*, dokonywającej przemian mniej, albo więcej brutalnych. Z pozornym, albo nawet i szczerym entuzjazmem mówią ludzie o ewolucyi, o powolnym postępie w komórkach mózgowych, w tajniach rozumu i serca, ale niech im nikt nie mówi o wstrętnej rewolucyi, która wylata nagle z głów, aby wybuchnąć na ulicy, przy akompaniamencie wycia tłumu i huku strzałów.

Tymczasem — powiada Reclus — dowodzi się tylko wielkiego nieuctwa, widząc między ewolucyą i rewolucyą kontrast, jak między wojną i pokojem, łagodnością i gwałtem. Rewolucye mogą się odbyć pokojowo, przez zmianę niespodzianą wewnętrzną, sprowadzającą przewrót w interesach; równocześnie ewolucye mogą być bardzo znojne, połączone z wojnami i prześladowaniami. Jeżeli wyraz ewolucya chętnie słyszą ci nawet, którzy ze zgrozą patrzą na rewolucjonistów, to znaczy, że nie zdają sobie sprawy z wartoś-

ci tego słowa, gdyż rzeczy jako takiej chcą uniknąć za wszelką cenę“.

I powiada Elizeusz Reclus wielką prawdę, u nas tak bardzo dającą się zastosować. „Mówi się z uznaniem o postępie wogóle, ale odpycha się postęp w szczegółach“, czyli w danych faktach. To jest właśnie to, co czyni nasza burżuazya, wszystko to, co się pod jej nazwę dziś podciąga, nie tylko zatem przemysłowcy, kupcy i fabrykanci, ale w czambuł i prawie bez wyjątków ci, którzy się liczą do „górných dziesięciu tysięcy“.

Reclus zakreśla pojęciu szerokie koło. „Ewolucya—mówi on — obejmuje zespół rzeczy ludzkich, a rewolucya powinna go również ogarniać, jakkolwiek nie zawsze widać powinowactwo pomiędzy poszczególnymi wydarzeniami, z których się składa życie społeczeństw. Wszelki postęp jest solidarny—socyalny i polityczny, moralny i materyalny, naukowy, artystyczny, czy przemysłowy... Historia jest tylko seryą czynów, wynikłych z przygotowań—ewolucya poprzedza rewolucyę, a rewolucya poprzedza nową ewolucyę, matkę przyszłych rowolucyi“.

Tu daje Reclus plastyczny przykład: dwa te przejawy różnią się między sobą tylko epoką pojawienia się. Ktoś buduje tamę, pod-

mywa ją i pewnego dnia następuje katastrofa, jezioro spływa, a rzeka staje się znowu rzeką, w pewnym kierunku płynącą.

To, co teraz z kolei następuje, jest bardzo mądre. „Jeżeli rewolucya zawsze się opóźnia w stosunku do ewolucyi, to dlatego, że napotyka na opór, podobnie jak piorun, który huczy w niebie, ponieważ atmosfera przeciwstawia się błyskawicy, wyszłej z chmury. Każda przemiana materyi, każda realizacya idei natrafia na opór inercyi samych warunków, i nowy fenomen nie może inaczej powstać, jak tylko przez wysiłek, i to tem gwałtowniejszy, im potężniejszy jest opór“. Herder określał w ten sposób: „Ziarno pada w ziemię, długo wydaje się martwym, potem nagle kiełkuje, przebija twardą ziemię, wydobywa się na wierzch i staje się rośliną, która kwitnie i wydaje owoc“. I podobnie rodzi się dziecko, które z łona macierzystego wydziera się gwałtem, następstwo faktu ewolucyjnego.

Słusznie zwraca Reclus uwagę, że konsekwencya zjawisk rewolucyjnych i ewolucyjnych może się wydawać wątpliwą. Wprawdzie wielki Linneusz twierdził, że natura nie czyni skoków (*nōn facit saltus natura*), ale też w naturze nic nie staje się bezpośrednio

jedno z drugiego, podobnie jak syn nie jest kontynuacją ojca, czy matki.

Kwiat nie jest przedłużeniem liścia. Wszystko staje się nowem istnieniem. Każdy byt wytwarza się w nowym kształcie z danego materiału. „Drzewo genealogiczne bytów, jak prawdziwe drzewo, jest zespołem gałęzi, z których każda znajduje siłę życia nie w swej poprzedniczce, ale w soku żywotnym, krążącym w miazdze.

Dzieło Elizeusza Reclus o ewolucyi i rewolucyi jest duże i pierwszy tylko jego rozdział streściłem. „Współczesna dusza polska“, której definicyi jeden z warszawskich redaktorów sobie życzył, ma teraz nielada zadanie przed sobą: musi ona dobrze zrozumieć sama siebie, a zarazem dobrze zrozumieć filozofię życia. Chodzi o to, *aby była myślącą*. Da jej to dużo dobrych chęci, a odciągnie ją od melancholii. Świadomość, rozumienie, zdawanie sobie sprawy daje ogromną satysfakcyę. Jest pewna wyższość w umyśle rozumującym i rozumiejącym, w umyśle sięgającym w przyszłość, we wzroku dłuższym, niż koniec nosa. Jest także wielkie zadowolenie w uczuciu, że co się dzieje i staje, nie dzieje się poza mną i mimo mnie, ale że i ja osobiście biorę w tem jakiś udział i rozumiem, co się staje. Tymczasem u nas, w naszych „górnym dzie-

sięciu tysiącach“ jest i tego współdziałania i tego rozumienia, pojęcia, bardzo mało. Słowa dzwięczą, jak pieniądze rzucone na miedziany talerz, ale też i tylko tyle. „Mówi się bardzo życzliwie w ogólnikach o ewolucyi, a le się odpycha ze wstrętem [rewolucyę“... Nie jest tu mowa naturalnie o rewolucyi bomb, browningów i sztyletów, ale się *nie rozumie*, co znaczy — poza taką uliczną — rewolucya. Tymczasem ta rewolucya psychiczna, rewolucya stanu dusz, mózgow i serc trwa od tak dawna, jak dawno istnieje świat, trwać będzie zawsze, ona jest „wodą żywota“, ona jest chlebem istnienia moralnego, dźwignią powszechną. Jest to rozpękanie kwiatu po powolnej ewolucyi rośnięcia. Nie kończy się i nie ustaje nigdy, bo z jej śmiercią zamarł by świat. Lecz jakże patrzy na nią *egoista*? „Daleki od szukania sprawiedliwości dla wszystkich, kontent jest, jeśli może zdobyć jaki przywilej dla własnej osoby“.

Czy czujecie wy, z „górných dziesięciu tysięcy“, że odbywa się w was jakaś przemiana materji, że z ewolucyi dusz waszych wynika jakaś rewolucya waszych pojęć i uczuć? Czy czujecie, że nie jesteście wyłącznie i jedynie tym egoistą Elizeusza Reclus? „Ustrój społeczny, jaki jest, daje chleb, daje pieniądze, stanowiska, zaszczyty, a więc niech lu-

dzie mądrzy starają się wykorzystać, ile się tylko da, dary fortuny!“.

Czy tak? „Jeżeli jakaś dobra gwiazda, świecąca ich urodzinom, uwolniła ich od wszelkiej walki, a dała im w dziedzictwie nie tylko potrzebne, ale i zbytek, o cóżby się skarżyli?“ Czy tak? Zatkanąć uszy, jak Odysseusz woskiem, płynąc. „Dla najedzonego cały świat po obiedzie“. I zawsze jeszcze ideałem jest: „bogactwo, władza, znaczenie, dobrobyt“?

Lecz przypomnijcie sobie, co Mickiewicz włożył w „Panu Tadeuszu“ w usta Napoleonowi przez usta Jacka Soplicy do niedbających Litwinów: „Obejdę się ja bez was!“...

Ewolucya i rewolucya dusz idzie — i trzeba jej wychodzić naprzeciw, jak dzieci jerozolimskie naprzeciw Chrystusa, z palmami i kwiatami, z wiarą, miłością i dobrą chęcią w sercu, z głośnym okrzykiem: Hosanna! Dziećmi tylko jesteście, drobiazgiem wobec tego Króla królów, choć w lnianej szacie! Śmieszni i nędzni mi się wydajecie w swoich herbowych, czy nie herbowych pałacach, wy — niechętni rozwojowi duszy. A czyż ona pyta o was? Czyż ona zważa na was? „Czyż widzi was, dostrzega“. Jesteście ziarnkami grochu, leżącymi na szynach pociągu — nawet nie wie że przejechał.

Czas już, czas przestać „konserwować“ „stan obecny“, „choćby nawet był zły“, bo „realizuje ideał: bogactwa, władzy, znaczenia, dobrobytu“. Czas!

„Kiedy widzimy — mówi Reclus o sobie i o swoich — kobietę czystych uczuć, szlachetnego charakteru, nieposzlakowanych obyczajów, która zniża się do prostytutki i mówi:

Jesteś moją siostrą; przychodzę stanąć obok ciebie, aby walczyć wraz z tobą przeciw agentowi, który cię znieważa i kładzie rękę na twoje ciało, przeciw lekarzowi policyjnemu, który cię każe chwycić dozorcóm i gwałci cię swoją wizytą, przeciw całemu społeczeństwu, które tobą pogardza i kopie cię: nikt z nas nie zwróci uwagi na ogólne pojęcia i nie odmówi wyrazu czci dzielnej ewolucjonistce, walczącej przeciw bezczelności oficjalnego świata“. A „burżuazya“ co? Przedewszystkiem roześmieje się; roześmieje się szeroko i głęboko, bo przedewszystkiem śmiać się musi kołtun (w mitrze, czy w cylindrze), który czego nie rozumie i gdy czego nie rozumie. A „bohaterami są wszyscy ci, którzy w jakim bądź kraju, w jakimkolwiek czasie umieli się poświęcić bez myśli o sobie dla sprawy powszechnej, jakkolwiek był ich horyzont i niech każdy z nas ich pozdrowi

wzruszony i powie sobie: umiejmy im wyrównać na naszym polu bitwy, innem, obejmującym całą ziemię!“

Albowiem wszystko, co jest rewolucją, łączy się z sobą, czy dotyczyć będzie „potępionego nędzarza i prostytutki, czy niezmiernych kręgów życia ludzkości, i niema tak małego zakresu działania, któryby nie powinien być podziwiany“.

Ogromny Chrystus—w swoim pojęciu—zbawiał świat, a mała Marya Magdalena namaściła Mu nogi i póki pamięć Chrystusa nie zaginie, nie zaginie pamięć o Maryi. Oboje wykonali czyn rewolucyjny—podług miary.

A wy? Jeżeli „jaka dobra gwiazda, świecąca waszemu urodzeniu, dała wam potrzebne, a nawet zbytek“ — to „usiłujecie wmówić w siebie, że cały świat jest tak zadowolony, jak wy“, Usiłujecie tak wmówić w siebie, choć wiecie, że to nieprawda—najmędrsi z was mówią: *to trudno*, taki jest porządek rzeczy... Ale patrzcie, o burzuje wszelkich odcieni i niuansów, *jak łatwo* kolej żelazna przejeżdża po ziarnkach grochu, rozsypanych na szyny. Duch czasu to nie jest goethowski „własny duch panów“, to jest ten Duch goethowski, który „w falach żywota, w burzy czynów

wznosi się i spada,  
przędzie tu i tam!“

i spyta: „Tyś to jest, co mym tchem owia-  
ny, we wszystkich głębiach życia drżysz, ro-  
bak skurczony z przerażenia?!“

## LULUSIA.

Fragment.



Bohater mój zwyczajem starym  
Musiał zaprezentować się,  
Czy na łbie siwym był czy karym  
I jakie imię wziął na chrzcie?  
Ale z uprzejmą stańcie miną  
I zmieńcie do ukłonu krok,  
Bohater bowiem był dziewczyną  
I zaczął dziewiętnasty rok.

Miał włosy lekko karbowane,  
Gęste i miękkie ciemno-blond,  
Uszka maleńkie i różane  
I precudownych ząbków rząd.  
Miał dołek w bródce i na twarzy  
Dwa dołki — istny cud i szal!  
I co się komu tylko marzy,  
Bohater mój to wszystko miał.

Oczy błękitno-srebrno-szare,  
Przedziwny i mistyczny kwiat:  
Gdy chciał, to je zamieniał w szparę,  
Gdy chciał, to niemi zakrył świat.  
Oczy błękitno-szaro-srebrne,  
Wilgotne, świetne, czar i cud!  
Gdy chciał, jak słońce lśnią podniebne,  
Gdy chciał, to je zamieniał w lód.

Szaro-błękitno-srebrne oczy,  
Mistyczny struny serca dźwięk:  
Gdy chce, melodyą cię otoczy,  
Gdy chce, zgrzytliwy wyda brzęk.  
Oczy błękitno-srebrno-szare:  
Cień palm południa, zapach róż.  
Tatrzańskich sennych jezior parę,  
Para gwiazd błędnych — para burz!...

Nos prosty, grecki, troszkę w górę  
Zadarty, sam koniuszcek wspak;  
Brwi w łuk ogromny, złoto-bure,  
Jak gdyby rajski wzlatał ptak;  
Czoło podłużne, gładkie, białe  
Owal pociągły, jasna pleć,  
Usta wiśniowe, greckie, małe,  
Na skroniach modrych żyłek sieć.

Szyja — ktokolwiek — (sam powiada  
Słowacki) — we Florencyi był  
I widział tam, jak cudnie spada  
Linia od głowy Wenus w tył:

Ktokolwiek widział, jak z pod brody  
Lustr marmurowy spływa w dół.  
Kto, jak pogańskie czuł narody,  
Kto piękno tak, jak Grecy, czuł:

Ten się nie będzie dziwił wcale,  
Że mi na szyi zawisł wzrok...  
Kiedy wschodziła po nad fale  
Wenus w przedświtu bładny mrok;  
Jedna z fal, które piersią bije,  
Do słońca uczepiona szprych,  
Spadła się zmienić w białą szyję  
U heroiny oktaw mych.

Ramiona smukłe, krągłe, pełne,  
Kągły, wysmukły, pełny gors —  
Lecz na to wszystko rzucam welnę,  
Jak płaszcz pod Afrodyty tors,  
Z bronzu wykuty w Watykanie;  
„In unsern Kleidern alle nackt  
Stecken wir“ — Goethe rzekł. „Poganie“  
Znali ten stary, pewny fakt.

Na imię było jej Lulusia,  
Lulusia — n'est-ce pas? ślicznie brzmi!  
Kiedy z kościoła szła, jak trusia,  
Ściągając złoto-bure brwi:  
„Panna Lulusia!“ — szepty w koło,  
„Panna Lulusia!“ — szmery w krąg —  
Panna Lulusia chyli czoło  
I czar ma w sobie wiejskich łąk.

Lulusia imię, a nazwisko  
Mej bohaterki -- kryje mgła,  
Nie urodziła się zbyt nisko,  
Ni też, gdzie krew błękitna gra;  
Ze średniej pochodziła klasy,  
Ojciec był szlachcic, matka zaś  
Z domu Kufkówna. Ananasy  
Kupował u nich sam „Król Staś“.

Kufkowie to szlachetny metal,  
Nie byle komu do ich furt!  
Nie znali nigdy co to detal,  
A zawsze tylko znali hurt.  
Rodzenki, wino, czy apteka,  
Mydła, herbata, co byś chciał:  
Nie było jeszcze tam człowieka,  
Co handel detaliczny miał.

Więc dygnitarska ta rodzina  
Uszlachcić chciała się na gwałt —  
Nie złowił wprawdzie karmazyna  
Matki Lulusi pulchny kształt,  
Ale szlachetka, co z folwarku  
Z herbem wyleciał precz i z psem,  
Nabyty został na jarmarku,  
Który my karnawałem zwiem

Pies miał pięć palek na obroży,  
Pięć palek na serwetach lśni,  
Na porcelanie — jeszcze gorzej,  
Figaro la, Figaro ci...

Nikt nie może mieć dziś pojęcia o tem, co uczuł Goszczyński, kiedy po raz pierwszy ujrzał od Leonostwa Tetmajerów z łopuszniańskich wierchów za doliną Nowotarską, Tatry. Tego wrażenia, tego czaru nikt już na ziemi polskiej nie doświadczy. Stał on przed tajemnicą jakąś, dziwną, groźną, przepiękną i wspaniałą, przed jakimś zaczarowanym królewskim iście królestwem, przed czemś dzieviczem, nawskroś nietkniętem. I wszedł tam, jak w istotną „ziemię czarów.“ Uwierzył we wszystko, co tam było jeszcze żywą legendą, wierzył tem chętniej i łatwiej, że wiarę w nadprzyrodzoność, w cnotę, w świat pozazmysłowy miał wrodzoną i jako jeden z najgorliwszych Towiańczyków żywot zakończył.

Dziwnem zdarzeniem człowiek z dolin,

Ukrainiec, „Lach“ mówiąc po góralsku, jest pierwszym poetą Tatr. (Józefa Przerwy-Tetmajera, który w 1828 r. wydał tom poezji lirycznych, w części opiewających rodzinne jego Tatry, nie można brać w rachubę dla zbyt małego talentu). A Tatry jego również jak on sam i jak cała jego poezja: ponure, dzikie, groźne, surowe, mgliste i jednotonne. Goszczyński, talent mało bogaty, pozbawiony zupełnie żywości barw i zdolności wchłaniania w siebie i odtwarzania zewnętrznego świata, cały pogrążony w jednym głębokim i tęgim, ale wąskiego koryta nastroju: całe skarby zmarnował, całe skarby zostawił odłogiem. A jakież skarby miał u nóg swoich. Mógł się stać Homerem Tatr, Homerem, który nie tylko wnuków bohaterów, lub ich samych jako starców, ale ich w całej jeszcze pełni młodości i kraszy znał! To jest grzech śmiertelny talentu Goszczyńskiego, że potrafił napisać tylko mistyczno-dydaktycznego „Straszego strzelca“; tylko piękną ale za mało doskonałą „Sobótkę“, i tylko „Dziennik podróży do Tatrów“, interesujący właściwie tylko tych, których specjalnie interesuje osoba poety, lub specjalnie interesują Tatry, gdy powinien był zostawić nam je takie, jakich już nikt po nim nie widział i wyśpiewać o nich to, czego już nikt wyśpiewać nie potrafi.

Boć przecież żyli wówczas ci homeryckiej prostoty powagi bacowie, ci homeryckiej chwały zbójnicy, żyły poważne, dostojne gazdiny, obok majestatycznych gazdów, żyły urocze, pełne leśnych legend dziewczki, obok zaczarowanych górami parobków, żyło to wszystko, co zostało tylko w podaniu i w mniejszej lub większej parodji. Goszczyński ich puszcza mimo, puszcza mimo cały ten świat: mówi o nim rzeczy ciekawe i piękne, owszem, nic nie uchodzi jego zmysłu obserwacyjnego: ani życie wewnętrzne, ani zewnętrzne Podhalan, zbiera i zapisuje ich pieśni, ich podania, ich obyczaje i zwyczaje, opisuje ich dusze, jak opisał ich strój, owszem on to wszystko widzi i spostrzega, rozumie niesłychanie ludową pieśń, jej znaczenie dla narodu, jej piękno artystyczne, zachwyca się nią w sposób godny szczerego i niepospolitego poety i mówi o duchowem życiu ludu rzeczy ogromnie głębokie i pełne natchnienia — ale sam nie umie przetworzyć ani w epos, ani w rapsody epickie Tatr nic z tego, co mu się poprostu kłębiło przed oczyma.

Opisuje, opowiada—naturę, widoki i wrażenia widoków wspaniale i potężnie, to są arcydzieła odczucia i ogarnięcia zewnętrznego świata—ale stworzyć na tem tle nic nie potrafi.

Stwarza na tle sobie właściwem: „Sobótkę“ i „Strasznego strzelca“. Ponieważ nie ma bezpośredniej obserwacji i wrażliwości, a nie ma jej do tego stopnia, że nie zdola jednego frazesu góralskiego porządnie powtórzyć: idzie za właściwością swego talentu i oddaje pole swojej surowej, dzikiej, ponurej jednostronnej fantazji. Nie pisze o którym Nowobilskim z Białki, albo Sieczce z ówczesnego Zakopanego: jest romantykiem, byronistą, więc cofa się o szereg wieków wstecz i pisze historję o napadzie Tatarów na Podhale, w której nadaje Góralom balladowo-romantyczno-internacjonalne kształty, tak, że ów Kiczora, owa Salka, ów Janosz, ów Ludek mogliby równie dobrze urodzić się w lasach pod Duesseldorfem, albo Sewillą, jak pod Nowymtargiem, a uczucia bohaterów, wszystko to, co mówią, myślą i robią jest pozbawione cech rasowych. To tylko, co go specjalnie zajmowało i co specjalnie odczuwał, naturę, pejzaż i nadprzyrodzony świat, to chwyta i to dotwarza w „Sobótkę“ miejscami po mistrzowsku. Śliczny jest np. ten wiersz:

Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,  
co świat dziwożon nawiedzić mogą;  
alabastrowe wszystkie opoki,  
najdroższy kamień leży pod nogą

choć także tych samych tkną tematów. Każdy z tych czterech patrzył swojemi własnymi świeżemi oczyma i stwarzał swój nowy własny świat, a to jest właściwie cechą prawdziwych poetów—który z nich dał najdoskonalsze dzieło o Tatrach, to jest całość swej pracy w tym kierunku? Goszczyński jest fragmentaryczny, bezładny, bardzo często fałszywie słyszący i widzący realne rzeczy; Asnyk oprócz arcydzieł dał w „Tatrach“ całe kartki retoryki i nienatchnionego mówienia; Nowicki do pysznych „Obrazów pustyni“ przyczepił ogon nieudanych „Tragedji pustyni“ i bardzo słabych „Ech pustyni“ — bezwątpienia najdoskonalsze dzieło o Tatrach dał Witkiewicz. Nigdy nie jest chwilowo tak natchniony, jak Goszczyński, Asnyk, lub Nowicki, ale bajeczny jego talent pisarski utrzymuje go zawsze na pewnej równej wyżynie, a bajeczny zmysł obserwacyjny strzeże go od fałszywych tonów.

Byli jeszcze dwaj poeci, którzy szukali Tatr dla swojej poezji — Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki.

Mickiewicz tam rozpoczął swój dramat „Konfederaci barscy“ Słowacki wplótł Tatry we fragmenta dramatu o Beniowskim. Ani jeden, ani drugi nigdy Tatr nie widzieli: Słowacki zaludnił je huculami, Mickiewicz zaś

pomieszał Tatry z krakowskim przedgórzem, a to, co napisali o nich, ogranicza się do kilkunastu słów, które o tyle tylko są warte wspomnienia, że są słowami Mickiewicza i Słowackiego.

Dla tych największych poetów polskich najpiękniejsza część ziemi polskiej nie stała się źródłem natchnienia i straconą została nazawsze. „Szkoła Tatr“ powinna jednak wiedzieć, że i oni Tatr tknęli.

Jaką ona będzie, ta szkoła, co przyniesie? Ma złe przykłady w „szkole jezior“ w Anglii i w naszej „ukraińskiej szkole“, z których żadna nie wydała pomnikowego dzieła w swoim zakresie; być może, że tu będzie lepiej. Najwięcej warunków miał dotychczas Witkiewicz, będąc najwszechstronniejszym,—niestety jednak jego swada pisarska i jego dar spozstrzegawczy nie stoją w żadnym stosunku z jego zdolnością twórczą, z jego wyobraźnią stwarzającą. Tej ma zupełnie mało, a tu nie można, choćby najświetniej, powtarzać i odtwarzać — tu trzeba tworzyć. Tego daru miał najwięcej Goszczyński—brakło mu znów innych przymiotów. Wogóle „szkoła Tatr“ i dawniejsza i obecna, jest jakgdyby przygotowywaniem gruntu pod jakieś wielkie kapitalne dzieło, pod wielkie homeryckie epos, jednoczące w sobie wszystko to, co Tatry

mają w sobie i co miały w przeszłości. Tatry żądają tego poprostu dla siebie, a naród ma prawo spodziewać się i oczekiwać. Tymczasem szkoła rośnie i rozwija się i jest dziś jedyną geograficzną szkołą literacką w kraju.

